Nr. 29. Warszawa, dnia 8 (20) Lipca 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WYBORY ANGIELSKIE.

Ludzie na kontynencie Europy nie mogą ochłonąć ze zdziwienia, że dekret o rozwiązaniu dawnej Izby gmin a wybraniu nowej ukazał się dopiero 8 go lipca, 13-go zaś anglicy staczali już między sobą walki wyborcze. Dla anglika zawsze i wszędzie „time is money,“ a w głowy angielskie, choć i tam udział rzeczywistych przekonań w czynnościach publicznych jest bardzo mały, nie potrzeba nalewać oleju w ostatniej dopiero chwili. Anglik nie czeka, aż mu wyraźnie powiedzą „rób“; sam robi, gdy dana chwila przynosi w sobie nakaz roboty. Okres wyborczy obył się bez dekretu: rozpoczął się już wtedy, gdy Salisbury przyjął mandat od królowej — na dwa tygodnie przed dekretem. Rozwiązanie Izby było już wówczas pewnem, nieuchronnem; wówczas też odrazu rozpoczęła się robota: przemawianie do wyborców, wydobywanie programów, zawsze gotowych w głowach przewódców, i przelewanie ich na papier, nakręcanie umysłów, chwytanie na wędki, świecidełka i blaszki — lub też poważne dobieranie się do wnętrza duszy politycznej tłumów.

Wybory rozpoczęły się już 12-go, w piątek. Wybierano tego dnia w okręgach o jednym kandydacie, który nie miał z kim walczyć. Tak przeszło odrazu 35 kandydatów: 29 unionistów, 3 liberalnych i 3 parnelistów. Nazwa „unioniści“ obejmuje i zachowawców i liberalnych odstępców — tych wszystkich, którzy, odmawiając samorządu Irlandyi, bronią wrzekomo jedności Anglii. W sobotę wybrano, już wśród walki, 75 przedstawicieli. W poniedziałek ogólna liczba wybranych wzrosła do 160, a we środę przyszły parlament miał już 374 członków, z samej Anglii, Walii i Szkocyi. Telegram, tego dnia wysłany z Londynu tak obdziela stronnictwa mandatami już zdobytymi: 332 zachowawców i liberalnych odstępców, 42 liberalnych; o irlandczykach milczy W Izbie gmin zasiada 670 przedstawicieli. Można przypuszczać, że mniej więcej w 250 okręgach czynność wyborcza nie była jeszcze dokonaną.

Zachowawcy walczyli pod hasłem: „Precz z *home-rule*'m“; liberalni prócz *home-rule*'u i reform społecznych wprowadzili do swej pobudki bojowej jeszcze i przekształcenie Izby lordów. Miało to być jakby logicznym wynikiem żądania samorządu dla Irlandyi: Izba lordów bowiem, z obecnemi swemi uprawnieniami, jest jedyną przeszkodą do przyznania praw irlandczykom. Tak twierdzą liberalni, ale tak nie jest; sam naród angielski nie wyrobił w sobie dotychczas rzetelnej większości w obronie praw Zielonej wyspy, i chociażby zgolono lordom włosy przy samej skórze, jeszczeby Irlandya samorządu nie dostała. Gromady unionistów, powysyłane do parlamentu już dotychczas, przynoszą tu nieprzeparte świadectwo. Stosunek 42 do 332 poprawi się w dniach następnych, ale sam przez się jest już zapowiedzią tak wielkiej klęski liberalnych, że tylko niechęcią narodu do *home rule*'u wytłómaczyć ją sobie można.

Przynęty socyalistyczne, rzucane tłumom przez zachowawców, programy odstępców liberalnych — przeważnie szczere i dobre — same jedne nie wystarczyłyby do sprowadzenia takiego skutku. Szarlatanerya jarmarczna, obiecująca złote góry, mniejszą w wyborach obecnych odgrywa rolę, niż hypnotyzm polityczny, do którego użyto jaskrawej, rażącej formułki: „Samorząd Irlandyi będzie bezrządem Anglii.“ Zahypnotyzowano nią umysły, obałamucono rozsądek. Zresztą szarlatanerya ze swemi świecidełkami ulepszeń społecznych nie jest wyłączną fabrykantką programów. Mają i zachowawcy cząstkę rzetelnych swoich ideałów w tem, czem obdzielają lud; widzą i oni konieczność, potrzebę; pragną i oni rzeczywiście poprawić los tych, którzy mają ich powprowadzać do przybytku mądrości i woli narodowej.

Z długiego, jak spis ofiar Don Juana, wykazu błogosławieństw, zgotowanych narodowi przez Salisburego, połowa nawet nie ma oparcia w szczerych przekonaniach i dążeniach; ale i to, co jest istotnie rzetelnem i poważnem, mogłoby na razie wystarczyć jako zadatek lepszej przyszłości. Wytwarza się w narodzie angielskim przez wolność i walkę pewien program ogólno-narodowy. *Tories* przejmują się *whigizmem, whigowie* bronią się od radykalizmu przez torysowskie jakoby wstręty i obawy. Powstaje jakaś przeciętna opinia, wspólny wszystkim pogląd na konieczność postępowania w tym, a nie w innym, kierunku. Z tego ogólnego programu zaczerpnął i Salisbury, a trzymający z nim Chamberlain, liberalny unionista, posunął się tak daleko, jak nawet żaden z rzetelnie liberalnych gladstończyków. Nie o reformy przecież toczy się obecna walka, ale o Irlandyę. W przyszłym parlamencie wrogowie jej będą mieli jakie 30 głosów przewagi, a to im wystarczy do łatania dziur w starzyźnie. W rozwiązanej Izbie zasiadało: 268 liberalnych, 81 irlandczyków, 272 zachowawców i 49 liberalnych unionistów; w nowej znajdzie się ledwie 220 li-

beralnych czystych. Ci tylko będą przyjaciołmi Irlandyi. Długa i mozolna przyszłość dopiero zastęp ten poważnie i stale zwiększyć może.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wieczorem dnia 15 b. m. w Sofii wykonano zamach na Stambułowa. Banda morderców rzuciła się na byłego ministra z nożami i rewolwerami i zadała mu kilkadziesiąt ran, w samą głowę piętnaście, wskutek których dotychczas już musiano odjąć jednę rękę, a stan ofiary przedstawia się jako niebezpieczny; mózg wszakże nienaruszony. Przestępstwo spełniono na ulicy wobec policyi, która, według jednych, pouciekała, według innych, kontemplacyjnie przyglądała się wypadkowi. Po zamachu papiery Stambułowa poszły w górę: odwiedzili go wszyscy przedstawiciele dyplomatyczni; cesarz Franciszek Józef nadesłał żonie jego telegram współczucia; dziennikarstwo całej Europy pała oburzeniem. *Nowoje Wremia* uważa, iż barbarzyński napad musi oburzać nietylko przyjaciół, ale i wrogów. *Nowosti* twierdzią, że zamachu dokonali ci, którym potrzebne było to wstrętne przestępstwo. *Swiet* przyznaje, że gwałt jest zawsze wstrętny, i mniema, że samowolnie nikt nie ma prawa wymierzać sobie sprawiedliwości, nawet na rozbójnikach. W Sofii umysły wstrząśnione — poczucie, jakby poczynających się nowych wypadków. Litość ogarnęła nawet przeciwników. Tylko ministrowie, jako ludzie, niczem nie objawili swego współczucia: Stambułow był osobistym nieprzyjacielem ks. Koburskiego; jako rząd — wyznaczyli 10,000 franków nagrody za wykrycie sprawców. Wskazał ich, może mylnie, sam Stambułów, wyliczając cztery nazwiska: Tiufekczyewa, Gału (?), Zelenikowa i Mikowa; pierwsze z nich musiało się znaleźć na właściwem miejscu, skoro prokurator nakazał uwięzienie człowieka, który je nosi. Podejrzanym jest jeszcze i Rozawow. Zdaniem Stambułowa zamach rozpoczyna dopiero cały szereg czynów, stanowiących cele sprzysiężenia, dla wywołania ogólnego przewrotu. Dawno on już ostrzegał o tem, co się święci; ale Stoiłow, prezes ministrów, przestrogi lekceważył.

Powstanie macedońskie jest głównie robotą bułgarską. Trafiono nareszcie na oddział już istotny, dotykalny, i ten okazał się złożonym z bułgarów, pod dowództwem bułgara—Stojałowa. Rząd bułgarski ma więc tem większy interes występować przeciwko powstaniu i powstańcom; wydał też proklamacyę, wzywającą do szanowania praw Turcyi, dołączając do niej wierzytelną kopię odpowiedzi, danej przez księcia Ferdynanda Koburskiego, jeszcze d. 10 kwietnia r. b., patryotom macedońskim. Odpowiedź ta nakazała spokój i cierpliwość: mogła więc zachęcić, lecz na razie mało o niej mówiono.

Trójprzymierze ma być przebudowanem: Lanza z Berlina przybywa do Rzymu z budulcem. Cesarz Wilhelm przyjedzie na jesień, aby paktowi nową nadać postać. Zjechać się też ma i z cesarzem Franciszkiem podczas ćwiczeń wojskowych. O zjeździe kanclerza Hohenlohego z hr. Gołuchowskim — pogłoski cichną; zjawia się za to inna: o dymisyi kanclerza. Zbijają wieść tę półurzędowcy berlińscy.

W Wiedniu d. 10 b. m. skończyła się bitwa o 1,500 guldenów dla gimnazyum w Cylei. Niemcy mieli tego dnia niepamiętne ulewy, formalne wytryski, żółci, i potokami jej zlewali głównie jednego ze swoich, niemca Kateneggera, który trzymał z Hohenwartem i słoweńcami i za danicm pieniędzy przemawiał gorąco w imię równouprawnienia. Fundusz uchwalono imiennie, 173 głosami przeciwko 143. Polacy, hohenwartyści i czesi głosowali za słoweńcami. Niemcy grożą ogólnem bezrobociem politycznem i w rozprawach nad budżetem na każdym kroku czarodziejską swą wstęgą wywołują całe rzeki — które większość suchą nogą przebywa.

W Marokku energia cesarstwa niemieckiego dała sobie szybkie zadośćuczynienie za zabicie niemca i złupienie mienia niemieckiego, które wydarzyły się jeszcze dawniej. Sułtan przyrzekł wynagrodzenie skrzywdzonych a ukaranie winnych.

We Francyi święto republikańskie d. 14 lipca odbyło się ze zwykłą paradą i pompą. Uwieńczono posąg Strassburga na placu Zgody. Izba przed świętem już się rozeszła. Na odchodnem wydała uchwałę, zalecającą sądy rozjemcze całemu światu cywilizowanemu.

Na Madagaskarze wszystko dobrze, tylko Antananarywo jeszcze daleko, a w Europie urządzono już szpitale dla chorych, przywożonych z pod niegościnnego nieba: w Marsylii na 350, w Tulonie na 200 łóżek. Czy to wystarczy? Dla podniesienia ducha, generałowi brygady, Metzingerowi, zanim jeszcze mógł się odznaczyć, Faure przy sposobności święta republikańskiego, nadał rangę dywizyonera.

Sofia 18 lipca. Stambułow dziś z rana zmarł. Ks. Ferdynand Koburski z Karlsbadu przysłał wdowie depeszę z wyrazami współczucia.

BADANIA NAUKOWE.

DO JASNEJ GÓRY.

II.

Jak wśród gromady pątników, idących do Jasnej Góry z szczerą wiarą i nadzieją ukojenia swoich bólów, czuć się musi żywioł obcy i odrębny, przesiąknięty powątpiewaniem, ale wrażliwy? Lekceważenie historycznej dewotki, czyniącej wystawę ze swej nabożności, byłoby niewłaściwym czynem w stosunku do tych prostaczków. Można bowiem różnie oceniać pożyteczność roztaczających się przed nami stanów duchowych, lecz niepodobna nieuszanować głęboce szczerej indywidualności, która stanowi tam zasadę. Dla osoby zbyt wrażliwej, która nadto nie rozporządza wyrobionym probierzem do sądzenia o doniosłości tego lub innego objawu w życiu społecznem, istnieje przecież w pielgrzymce pewne niebezpieczeństwo: jaźń zbiorowa chwyta ją w swoje szpony, ubezwładnia ekstazą i podsuwa ocenę, która będzie i być musi tylko pochwałą. Wł. Reymont jest właśnie takim człowiekiem: połyka wrażenia, które zewsząd napływają do mózgu i w nim pozostawiają swój osad w postaci obrazów. Bezbronny wobec tych napastników, nie może być bezstronnym i przedmiotowym. Upojony falowaniem uczucia zbiorego, zachwycony prostotą stosunków pomiędzy ludźmi, jaka panuje tam i obowiązuje w gromadzie pątników, ubezwładniony przez naiwną otwartość i brak konwencyonalizmów, otrzymane wrażenia kładzie na karb nie zawsze właściwej przyczyny, ale przypisuje wpływom dogmatu. Nie chcę przez to powiedzieć, ażeby autor pielgrzymki bronił tej tezy, lecz jego poczucie artystyczne wplata taki na pół niewypowiedziany wniosek

7)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Widok 11

Ziemia spotniała obfitą rosą, kwiaty i zioła swojemi woniami zatopiły wyziewy skwarnego dnia, które już tylko cienką warstwą unosiły się nad ziemią. Gwiazdy rozsypały się po niebie w licznych stadkach. Co chwila zrywały się one pojedynczo i szybkim lotem przerzynały przestworze, jak gdyby w swawolnej gonitwie. Plac wybrzeża wrzał głośną rozmową mężczyzn i kobiet, chodzących i siedzących przy marmurowych stolikach, muzyką i śpiewem w namiotach, krzykami w sąsiednim gaju, śmiechem wszędzie. Przystojniejsza wesołość wychodziła na widok, nieskromna kryła się w zacienionych ustroniach.

OBRAZ PIERWSZY.

Mężczyzna.

Prawda, ty pieszczocho bogów, ale czy pod czarem twoim mogę o czemś więcej pamiętać, niż o tem, żeś piękna? Czemuż mąż cię nie ukrył przed światem, jeśli chciał, ażebyś tylko jego wzrok olśniewała?

Kobieta.

Nie rzucaj mi w serce słów tak palących.

Mężczyzna.

Zgasisz je łatwo.

Kobieta.

Ach, gdybyś wiedział, ile wysiłków kosztuje mnie to gaszenie!

Mężczyzna.

Po co one! Droga moja, nie opóźniaj mnie i sobie chwil szczęścia. Wszakże między nami stoi już tylko twój upór.

Kobieta.

Nie... rozejdźmy się. Pomóż mi do tego zwycięztwa nad sobą, bom słaba.

Mężczyzna.

Więc żegnam cię na zawsze...

Kobieta.

Nie... nie... tylko na godzinę. Kiedy żądasz koniecznie, przyjdę...

OBRAZ DRUGI.

Kobieta.

Nie puszczę cię, chociażby mnie walka z tobą zdradzić miała.

Mężczyzna.

I co na tem zyskasz? Mąż cię z domu wypędzi, a ja nie przyjmę.

Kobieta

Tak ci zbrzydłam?

Mężczyzna.

No, nie żądaj, ażebym wyręczał twego męża nawet w wierności.

Kobieta

Tylko dzisiejszy wieczór jeszcze spędź ze mną.

Mężczyzna.

Odczep się i nie przeszkadzaj mi w zabawie.

Kobieta.

Dlaczegoś ty do mnie przed miesiącem tak nie mówił?

Mężczyzna.

Bo wtedy chciałem cię mieć, a dziś nie chcę. Jasne i proste.

w opowiadanie i zabarwia je pewną niechęcią dla umysłowości, która otrząsnęła z siebie filozofię, mającą na wszystko i z góry gotową odpowiedź. W świecie obłudy konwencyonalnej, gdzie każdy posiada swój numer i w którym wszyscy muszą jakoś nadsztukowywać swoją indywidualność, ażeby proklamowała siebie i wystawała po nad właściwą miarę, albo też ją poskramiać i zasłaniać, bo innych mogłaby razić, w świecie tym nie ma miejsca na podmuch gromadny, szczery, głęboki, zwłaszcza zaś tak długi, wobec jakiego znalazł się p. Reymont. Falująca przed nim psychika zbiorowa ogłuszyła go i zarazem uśpiła w swoim powiewie, jak matka dziecko na ręku, on zaś wzamian działanie narkotyku gromadnego przypisał innemu źródłu i dalej rozszerzył. Na tle gromady, zacierającej wszelką osobowość, przy odgłosie jej mowy nieczłonkowanej, złożonej z jęków i spazmów, wyprowadza on na stronicach swojej książki ojca Prokopa, który już w sposób członkowany, tj. powiązany logicznie za pomocą zdań uzasadnionych, usiłuje dać rodowód filozoficzny ekstazy i silnych uderzeń serc. Wł. Reymont w tym *interview*'ie — bo rozmowa z wymienionym ascetą w zupełności nosi taki charakter — przedstawia w sobie inteligencyę sceptyczną która jest „jako trzciny stawów, zeschłe śród lata i trzepoczące liśćmi żółtymi nocom, słońcu wiośnie.“ Ojciec Prokop to upostaciowanie tego, co dokoła owych badyli drga życiem, kwitnie, śpiewa, cierpi wreszcie, lecz żyje; słowem to mózg, który w artystycznem uniesieniu autor „Pielgrzymki“ przyprawił pątniczej jaźni zbiorowej. „Inteligencya z tego zetknięcia wychodzi, skruchą dotknięta.

— Naprawdę, są to najmędrsi z mądrych, powiada o pątnikach rzecznik dogmatu. Wierzą! Nie pytają, nie wątpią, nie dociekają, tylko wierzą. To wy w nic nie wierzycie, ani w ludzi, ani w ducha, ani w materyę. Oślepili się sami i krzyczą, że nic nie ma, bo oni nie widzą!...

— Ojcze—odrzeka przedstawiciel inteligencyi — czy ojciec myśli, że to bez śladu przychodzi? że jest rozkoszą nie widzieć i nie mieć myślą nawet się gdzie zaczepić?

Przez usta p. Władysława Reymonta przemawia przedewszystkiem wrażenie, wyryte w umyśle jego przez jaźń zbiorową. Ta „Inteligencya“ ponumerowana, pełna konwencyonalizmu, w gruncie zaś zepsuta przerafinowaniem, próżna i bez godziwego celu w życiu, tak szaro wygląda w porównaniu z uderzającą o duszę pielgrzyma falą gromadnego zachwytu i szczerego czynu! Pielgrzymka więc do Jasnej Góry jest nietylko pouczającym przyczynkiem do poznania psychologii tworzącej się gromady, lecz prócz tego uwydatnia nam jeszcze sposób oddziaływania prostoty zbiorowej na jednostkę, przesyconą złożonością życia, usypiania jaźni pojedynczej, a czującej swoją odpowiedzialność w zbiorowej. Zapał w gromadzie wzrasta w miarę bliskości miejsca świętego, wydając tony coraz trudniej, uchwytne w opisie, duchowość psychologa pielgrzymki równie wypręża się, chociaż w równoległej mierze. W książce daje się czuć rozdźwięk pod względem artystycznym;—zbyt silnemi barwami autor kreślił pierwsze wrażenia i kiedy doszło do późniejszych, napięcie obrazów jest słabsze niż w rzeczywistości.

Zbliżenie pomiędzy gromadą, mającą w sobie zarodki harmonii duchowej, a przybyszem, który od niej odróżnia się nawet strojem, idzie zwolna i zwłaszcza z początku napotyka trudności. Człowiek inteligentny podziwia namaszczenie na twarzy uczestników kompanii, obarzają go gapie, przypatrujący się tłumom pobożnym, ale lud stroni od niego, bo kultura pozbawiła go słów, któremi zdołałby się włamać do dusz gromady. Lody pryskają powoli. Pątnik-sceptyk zaczyna odurzać się narkotykiem zbiorowości, tchnieniem powabów wiosny. Analiza tego upicia jest nader pociągającą. Na noclegu w Bełsku organy brzmią cichą, uroczystą psalmodyą, słowiki w sadach ukryte, wylewają całe kaskady niewysłowienie miękich tonów, miedziane zorze i fioletowe odbłyski przeplotły przyrodę i kładą się na lud zebrany, który śpiewa w ciszy nadchodzącej nocy. „Nie, tylko mieć czucia tyle, aby objąć i wchłonąć to piękno wszystkiego, co się widzi i słyszy — woła p. Reymont.—Dusza jakby się podnosiła ze znużenia i jakby na tych rytmach śpiewów, grania, pieśni słowiczych, woni i barw rozwijała skrzydła, potężniała, rozszerzała się w nieskończoności i piła rozkosz i zapomnienia w tem źródle piękna. Wszystkie twarze jaśnieją, a wszystkie serca zgodnie śpiewają. Czuję, jakbym się zlewał i łączył z tym tłumem obok klęczącym i płynął strumieniem jednym z nimi... Pieśni, i serdeczność dźwięków, i te odurzające wonie kwiatów, i tyle uczuć tętniących w tłumie, bije w moje serce i przenika je ekstazą. Nowy dreszcz, nowy i potężny! Klęczałbym na tym piasku, pod granatem niebios, przetykanym srebrem gwiazd, pośród tego tłumu rozśpiewanego. Niech mi tylko nucą coraz ciszej: „dobranoc, wonna lilio, dobranoc!“ niech mi tylko kołyszą duszę te brzmienia łagodne, te rytmy jakieś liliowe, ta harmonia serc zjednoczonych u stóp Niepokalanej.“ Przytoczony ustęp odkrywa drogę, przez którą dogmat wkracza do umysłów artystycznych, nieci tam nowe dążności i wypłasza stamtąd dawny sceptycyzm. W tym zwrocie nie ma mowy o argumentach i dowodach rozumowanych, tylko działa ekstaza zbiorowa: „te brzmienia łagodne, te rytmy jakieś liliowe, w sojuszu z odurzającemi woniami kwiatów, z granatem niebios i z innemi powabami, które przyroda właśnie roztoczyła wtedy. Takiem jest źródło nawrócenia romantyków, którzy z sceptycyzmu protestanckiego i nawet z chłodnej analizy filozofii naukowej przerzucali się do dogmatu, połączonego z czcią N. Panny Maryi, w tem równie spoczywa przyczyna wezbrania powrotnej fali w powieści francuskiej. Orgie barw i dźwięków, odgłosu płaczów z tłem ekstazy duchowej przelewają się przez mózg, pociągają do siebie, wabią prostotą, lub harmonią, w gruncie zaś rzeczy swoim zgiełkiem, przytłaczają myśl, która się przędzie w mózgu ze świadomością — uczucia religijnego, ściślej artystycznego, pod wezwaniem dogmatu.

Po jednej i drugiej takiej kąpieli w potoku ekstazy zbiorowej, po rozmowie z towarzyszami podróży i zaprzyjaźnieniu się z nimi, następuje zupełne zbratanie. Stan zaś nerwowy ówczesny staje się pomostem dla nowych sympatyj. „Dałem się porwać strumieniowi i płynę. Dokąd?... nie pytam, bo mi jest dobrze. Czuję, jakbym się coraz więcej zrastał z nimi. Wchodzę w jakieś ciepłe, mistyczne powinowactwo z temi duszami, zaczynam czuć tak samo, tj. czuć rzeczy najprostsze. Przyjemność ruchu, oddychanie swobodne powietrzem czystem, zadowolenie odpoczynku pod gołem niebem, zwierzęcą rozkosz najedzenia się byle czem i ten sam dreszcz dziwny na widok księży, kościołów, pięknych ceremoniałów, złoceń! I tak samo łzy zalewają mi twarz i spazm rozczulenia skręca mi serce, gdy usłyszę poważny głos organów, gdy mnie owionie mroczny chłód świątyń, gdy księża w przemowach używają poważnych pobudliwych wyrażeń: Bóg, kara, cnota, piekło, Amen... i mówią to patetycznymi głosami. Zmęczenie i jednostajność odbieranych wrażeń tak maluje moją wrażliwość, że już wielu rzeczy nie mogę sobie uzmysłowić, o wielu zapominam

---

OBRAZ TRZECI.

Mężczyzna I.

Czy ty umiesz odróżnić u kobiet znaczenie słów: *tak* i *nie?*

Mężczyzna II.

Doskonale! Kiedy na coś pozwalają, mówią: *nie*; a kiedy z pozwolenia skorzystałeś, mówią: *tak*.

OBRAZ CZWARTY.

Jala

Tęsknota? O, nie, ani ty, ani ja tęsknić nie będziemy. My musimy często się widywać.

Astjos.

Czy to możliwe? Tu długo bawić nie mogę. Mieszkamy przedzieleni znaczną odległością, a gdybym nawet przyjeżdżał do was, nasunąłbym domysł twojemu mężowi.

Jala.

Nie obawiam się. On dopóty ma podejrzenia, dopóki nie powiem: pocałuj mnie.

Astjos

Próbowałaś tego środka wielokrotnie?

Jala.

Tak, już mnie nieraz posądzał o słabość dla ciebie.

Astjos.

Tylko dla mnie?

Jala

Nie podchwytuj mi słów, jak dzieciak piłkę, bo ja mam jeszcze większą odwagę, niż ta, jakiej potrzebowałabym do przyznania się, że nie jesteś drugimmoim mężczyzną. Lepiej szukaj ze mną sposobu spotykania się. Mam myśl: podobno twoja siostra nie znosi swego męża i często przebywa w waszym domu u rodziców. Gdybym się poprzyjaźniła z nią, mogłabym do was przyjechać, a gdybym ją do siebie zaprosiła, mógłbyś ty jej towarzyszyć. Zresztą jest piękna, mój mąż zaś na wdzięki kobiece wrażliwy...

Astjos.

Nigdy... nigdy... To byłoby czemś gorszem, niż lekkomyślnością.

Jala.

Dlaczego?

Astjos.

Naprzód Orla jest surowszą w moralności od wszystkich patronek cnoty. Powtóre, nie oddałbym jej nigdy na taką zabawkę.

Jala.

Więc ty byś nie dopuścił, ażeby ona z kimkolwiek zrobiła to, co ja z tobą? Śmiało! Wyznaj!

Astjos.

Trudna odpowiedź.

Jala.

Nie odpowiedź trudna, ale szczerość. Znam te wasze dwie miarki. Mężczyzna wobec lwa potrafi być lwom, ale wobec kobiety jest zawsze lisem. Drwię sobie jednak z tych wykrętów. Moralność musi być gorzkim owocem, kiedy go nie zjadacie sami, tylko oddajecie swoim żonom i siostrom. My jesteśmy lepsze, bo gdy nam nie smakuje, nie częstujemy nią naszych mężów. Pozostawiam ci twoją niepokalaną siostrzyczkę dla bogów, ale ty za to musisz wynaleźć możność naszego widywania się.

Astjos.

Nie przyrzekam...

Jala.

Ha, jeśli nie będzie lepszej, to uciekniemy gdzieś daleko...

Astjos.

Co ty mówisz?

Jala.

Oświadczyłeś, że mnie kochasz, że pragnąłbyś być zawsze ze mną, że dzień dzisiejszy przedłużyłbyś do końca swego życia, ja — również, więc co cię właściwie dziwi?

i dla wielu obojętnieję. Tak się zmęczyłem, że jest mi dobrze z tem, że mnie nikt nie zna i nie pyta o to; że jestem niczem, jednostką, bratem, cyfrą ogólnej liczby pielgrzymów, a nie żadnym panem N lub X, który nie może się pokazać bez maski jakiejś takiej. Nie jestem nawet wolą, jestem tylko sumą mięśni, wprawionych w ruch i zautomatyzowanych, z natężoną ustawicznie czuciowością. Jestem tylko tętnem jednem tego serca, które ma przeszło cztery tysiące głów. Nikt tu nie ma maski, nawet imienia."

Ekstaza jaźni gromadnej działa, rysuje w pamięci przyjemność doznaną po każdem poruszeniu, a zatem po spazmie rozczulenia na głos organów i po orzeźwiającym chłodzie świątyni wśród skwarów podróży. Wł. Reymont, kiedy w Częstochowie umyty, przebrany i przeobuty, zobaczył rozchodzących się towarzyszów podróży, to ogarnął go żal, że wędrówka już się skończyła i że wszyscy oni rozlecą się jak liście jesienią, aby się już nie zejść nigdy. Tak, wędrówka się skończyła i jej uczestnicy, nie znający siebie z imienia, zbierali się rozlecieć, ale w każdym z nich pozostał pewien czynnik, który z wszystkich współpątników, rozpierzchłych po dalekim świecie, utworzy przecież całość duchową, posiadającą wspólny punkt ciężkości i wspólne wspomnienia, — po przeżytej i doświadczonej jaźni zbiorowej. Utkwiły tam odgłosy, i drgania i zarodki, z których w nieświadomej pracy mózgu powstaną pewne niejasne dążności. Autor „Pielgrzymki" wstąpił do kompanii jako sceptyk. Pragnął przyjrzeć się pewnym stanom, ale fala zbiorowości uderzyła weń i o jego zmysł artystyczny. Opuścił on zastępy pątnicze jako inna duchowość. Nadal pozostał sceptykiem, ale kiedy na porządek społeczny wyjdzie jakaś kwestya, związana z odnośną sferą zagadnień i interesów, to zachowanie jego napewno będzie odmienne, niż wtedy, zanim puścił się na świętą wędrówkę. Gdybyśmy zamiast niego wzięli osobę dotkniętą przez bardzo żywą boleść, która nurtując w głębi nie daje ani chwili wypoczynku, to ona może wróciłaby z Jasnej Góry zupełnie nawrócona, jak niegdyś Chateaubriand po stracie matki. Dogmat stanowi w tem wszystkiem rzecz najpodrzędniejszą: w pielgrzymce hindusów nad święte wody Gangesu wkradłoby się to samo uczucie, jak równie podczas „rozmyślań," — tj. zapomnienia o wszystkiem w zachwycie—buddhyjskim. Nabożeństwo dla Nirwany pomiędzy wytwornemi damami Paryża, spirytyzm szerszych kół tu i owdzie, neokatolicyzm i wogóle powracająca wśród świata artystycznego fala mistycyzmu dogmatycznego, wszystkie te prądy są tej samej natury. Wszędzie nie dogmat przekonał umysły i nie on je nawrócił. Nie o niego nawet tam chodzi. Analiza stosunku p. Reymonta do gromady pątników rzuca nam światło na rodowód tych zwrotów, przynajmniej na jeden ze strumyków nurtu mistycznego u dawnych sceptyków rzekomych. Wypływa on z artyzmu, z podziwu nad wewnętrznymi stanami wierzącego, wreszcie z zarazy moralnej, doznanej w gromadzie. Ktoś zaczyna skłaniać się ku pewnym obrzędom i zwyczajom, właśnie prowadzony takimi względami; kiedy zaś już skosztował tego rodzaju słodyczy duchowej, wtedy daje też posłuch filozofii, ukrytej po za ceremoniami. W tym zwrocie dużo znaczą instynkty społeczne. Istota ludzka, porwana przez wir anarchii indywidualnej, zmuszona do wieszania na swojej twarzy obłudnego uśmiechu, orzeźwia się wśród drgań harmonii masowej, przyodzianej w formy niewyszukanego stosunku — szczerego a naiwnego. Może jeszcze coś nowego zaważyło. Po długiej a denerwującej pracy tęsknimy za odpoczynkiem gdzie daleko, w jakiemś cichem, prostem ustroniu; pragniemy nosić zwykłego kroju suknie, jeść niewybredne potrawy, posłuchać wiejskiej melodyi. Powracająca fala mistycyzmu artystycznego to równie prąd poniekąd tej samej natury. Umysły wrażliwe, ruchliwe, ale łatwo męczące się, protestują tym zwrotem przeciwko poglądom filozoficznym, zbyt nużącym mózgi i zanadto narażającym na wysiłek. Jak prostota dam francuskich w przeszłym wieku i sport prostego życia w otoczeniu łąk, białych owieczek, szarych domków nie zmieniły faktycznie trybu życia pasterek salonowych, podobnie uwielbianie prostoty filozoficznej przez pokolenie dzisiejszych artystów przemknie się tylko po powierzchni rozwoju duchowego. Ale oba prądy zrodziły się z tej samej potrzeby: chęci wycofania się ze złożonych, męczących form życia a przejścia do prostszych. Gdyby kompania składała się nie z ludu, lecz z osób zamożnych i tem samem nie odznaczała się taką prostotą w układzie stosunków wzajemnych, to bezwarunkowo nie oddziaływałaby tak silnie na autora „Pielgrzymki."

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY Z PARYŻA.

Franciszek Coppée: *Pour la couronne* (Dla korony). Paryż, 1895.

Prawdziwy syn Paryża, w utworach powieściowych nie wychodzący z jego przedmieści i okolic, miłośnik wzorów miejskich i zaciszy przyrogatkowych, w poezyi i niemniej często w dramacie, Franciszek Coppée ulatuje nad przestwór stolicy francuskiej i oba brzegi Sekwany. Myśl jego przenosi się wówczas w urocze krainy wschodu, szybuje pod błękitem Włoch, osiada na rozkwitłych drzewach pomarańczowych Andaluzyi. Cofa się w przeszłość, pod jej sklepieniami szukając piękna duszy i podniosłości. „Lutnista z Kremony," „Severo Torelli," „Jakobici," „Błogosławieństwo," wystarcza za przykład.

Obecnie w poszukiwaniu widoków i nowych wrażeń myśl ta pobiegła na szczyty Bałkanu, kryte śniegiem i wieńczone jodłą. Tu w pobliżu wąwozów, ciasnych dróżyn górskich i przejść, które głaz duży zawala, strzelił w niebo basztami i wieżycami zamek Michała Brankomira. Gdy słońce mgłę rozpędzi, oko widzi z niego wierzchy okoliczne, przestrzeń zieleni, a w dole u stóp olbrzymów złociste morze zbóż. Równinę bułgarską, „żółtą od kłosów pszenicy, jakby skóra lwia, na niej jak miecz stalowy rzucony Dunaj szeroki."

Te wierzchy, duch wolności spowija, to zakątek równin jedyny w pęta nie zakuty. Turecka powódź tylko o te granity jeszcze rozbryzguje się. Tu tylko, gdzie jak wilk u wnijścia do swej pieczary, broni się Brankomir, nie powiewa buńczuk i nie błyszczy półksiężyc. Reszta ziem bałkańskich uległa przemocy i zdradzie. A i w owe strony Mahomet II wciąż wysyła wojska i wciąż bezskutecznie straty ponosi.

Dramat „Dla korony" osnuty na tle walk słowian z turkami.

Na wałach zamku albańczyk Benko z gęślą na ramieniu ogląda okolicę. Urosz, weteran Brankomira, siadł na ławie, młody żołnierz, Łazarz, objaśnia gęślarzowi widok.

Astjos.

To wywołałoby zgrozę.

Jala.

Czyż ten puch zdołałby zważyć nasze szczęście?

Astjos.

Nie, Jalo, to niepodobna.

Jala.

Ha, ha, ha, niepodobna! Biedny lis znowu zwinął się ze strachu. No nie drżyj, nie będę tego żądała. Zatrzymam cię tylko w pułapce, w którą dobrowolnie wpadłeś. Widzisz, mój piękny, ja nie należę do tych kobiet, które godzą się na to, ażeby mężczyzna zaczął je kochać o zachodzie słońca, a przestał o wschodzie. Nie idzie mi zaś jedynie o przyjemność posiadania go długo, ale także o nieprzyjemność stania się ofiarą jego oszustwa. Ze wszystkich podłych własności człowieka najbardziej nienawidzę kłamstwa. Jeżeli powiesz otwarcie, że zapragnąłeś mnie dla chwilowej rozrywki — mogę uledz lub przebaczyć ci tę zniewagę; ale jeżeli powiesz, że mnie kochasz, a chcesz tylko udaną miłością pokonać mój opór, to jesteś w moich oczach nikczemniejszym od kapłana, okradającego świątynię. Takiego mężczyznę ścigałabym zemstą przez całe życie, otworzyłabym jego grób, wyjęła urnę z jego popiołami i kazała praczkom narobić z nich ługu.

Astjos.

Ależ ty jesteś straszna.

Jala.

Pytam cię jeszcze raz: kochasz mnie?

Astjos.

Kocham.

Jala.

Pamiętaj o tem, bo ja nie zapomnę.

Astjos.

Usuńmy się, nadchodzi tu Pirus.

OBRAZ PIĄTY.

Pirus.

Moja przyjaciółko, my dziś możemy grzeszyć tylko wspomnieniami.

Kobieta.

Ty.

Pirus.

I tobie radzę na tem poprzestać. Co najmniej pięćdziesiąty piąty roczek ogryza cię z wdzięków.

Kobieta.

Nieprawda.

Pirus.

Jeżeli lubisz dobrze jeść, to jedz. Jest to miłość starości.

Kobieta.

Zapewne utrzymujesz teraz stosunki głównie z kucharkami.

Pirus.

O ile dobrze gotują.

Kobieta.

Czy znasz Astjosa?

Pirus.

Co? Na niego chcesz galopować? Szanowna matrono...

Kobieta.

Nie pleć, tylko odpowiedz mi, czy go znasz?

Pirus.

Od dziś dopiero. Wspaniały samiec!

Kobieta.

Mieszka dotąd w swych dobrach ze starymi rodzicami, z którymi się nudzi, a chciałby użyć młodości — czy tak?

Pirus.

No, tak, ale cóż z tego?

Kobieta.

Moja córka już dorosła, wierzaj mi, prześliczna dziewczyna.

Pirus.

Przypuszczasz, że ten bogaty młodzieniec ożeniłby się z biedną, nawet ładną...

„Skanderbeg umarł, Huniady umarł, od Warny aż po Budę zgliszcza i ruiny. W Polsce przy drogach boże męki krwią spłynęły, każda sama z siebie, z boleści wielkiej, iż ćwierć świata chrześciańskiego Mahomet zdobył. W Pradze obraz Bogarodzicy pobladł. Cała Europa zachwiawszy się pod ciosem osmańskim, załkała.

I jeden tylko biorąc dziesięciu wrogów na każdy palec, jedyny chrześcianin, Michał Brankomir, podjął walkę przeciw obroży i jarzmu, meczetowi i baszy. Na białym proporcu wyszył Chrystysa ze złota, a władca Widynu za radą jego odesłał sułtanowi tytuł emira i dani odmówił. Uderzył dzwon ratunkowy, zardzewiałe szable wybłysnęły z pochew, armaty z gór lunęły deszczem śmierci ku dołom, gdzie obóz turków rozłożył się. Wąwozy obsadzone, potoki zarumieniły się krwią wrogów i obrońców. Od dwunastu lat walczymy i snać tygrys stępił już sobie pazury, w łapy ciernia nawbijał. Zapewne, leży tam na równinach, ale zmalała jego zawziętość, kły o skałę się starły.

My tu zawsze czuwamy. A jeśli dziś dojrzysz pewne naprężenie na twarzach, zajęcie jedną myślą, to nie obawą wroga. Król stary umarł, nowego obieramy. Nami, narodem wolnym, tylko przez nas wybrani rządzą. Wszyscy prawie wiemy, kto nim będzie: biskup Stefan, który modlitwą i słowem do boju zagrzewał. Lecz i Brankomir z namowy drugiej swej żony, księżniczki bizantyńskiej, Bazylidy, o tron się ubiega. Tam w gmachu czeka niecierpliwie na posłańca ze stolicy."

Bazylida jest głownią, z której rozpali się pożar.

Wszedł. Nie posłaniec, lecz nowy król. Jest nim biskup Stefan. On wie, że wybór winien był paść na Michała, nie położył przecież zasług godnych stanąć na równi z czynami wodza. Ale będzie mu szczerym doradcą, a kiedy wnet powieki zamknie, turczyn pewnie daleko będzie odparty od gór, może z Carogrodu wygnany i Michał nad większem jeszcze królestwem siądzie do rządów.

Lecz ani słowa Stefana, ani wrodzona Michałowi obojętność dla blasku zewnętrznego nie mogą oprzeć się wpływom Bazylidy. Jak wąż okręciła się około duszy bohatera, coraz ściśniając sploty. We wnętrze jego rzuciła ziarno cykuty i uprawiała pod nie grunt, polewała je namowami i naklanianiem. Puściło nareszcie robaczkowy korzeń, wychyliły się z łodygi listki strzępione jadowitej rośliny.

Pobudzany i kaleczony w dotkniętej dumie, Michał uległ żonie. Sułtan przez swego szpiega Benkę przesłał ferman, który zdrajcy, przeprowadzającemu armię przez wąwozy, nadawał władzę królewską. Dziś w nocy Michał tego dokona...

Marznie oddech w powietrzu, prosto w górę ciągnie dym z łuczywa, które trzyma w dłoni góral, stojący na czatach. Zimno, a świetlnie. Smolny stos sygnałowy, który ma być zapalonym w razie zbliżenia się wroga, cały opromieniony księżycem, starodawna droga rzymska jasno bieleje na grzbiecie góry, opodal na pół zwalony łuk tryumfalny widny jak na dłoni.

Wyiskrzyły się gwiazdy, wypatrzyły się oczy widnokręgu, a to zły znak. Powiadała matka — mówi do siebie góral — że kiedy gwiazdy tak patrzą, jakaś zbrodnia wisi w powietrzu. Jakaż zbrodnia?

Minęła północ, ręce kostnieją z chłodu; czy nikt nie przyjdzie odmienić warty?

Przybywa sam Michał. Wódz, którego skronie oplotły wawrzyny, zdepce je dziś i schańbi. Starzec o włosu siwym rzuci błota na swą głowę. Wkrótce płyty drogi zadźwięczą od kopyt generała Otorgula, a on nie wyda sygnału. Lecz będzie miał koronę.

W tem z drugiej strony wąwozu wynurza się cień. Ze skał wychodzi syn Michała, z pierwszego małżeństwa, Konstantyn. Dzielny młodzian. Od dziecka ścinał się z turkiem, nie zna trwogi. Nie drżał nigdy i nigdy nie splamił się okrucieństwem.

Podczas jednej utarczki wziął do niewoli dziewczynę Milicę, cygankę, błąkającą się przy obozie tureckim, biedne upadłe stworzenie, rozrywkę żołnierstwa. Nie traktował jej ze wzgardą, darował wolność i deptane, hańbione dziecko przywiązało się do młodego rycerza, jak pies uratowany z rynsztoku. Ona to poznawszy w Benku jednego z wojowników osmańskich, zaczęła go śledzić, a dopatrzywszy częste schadzki z Bazylidą, wpadła na domysł zdrady. Za jej podnietą Konstantyn ukrył się w izbie ojca i podsłuchał rozmowy małżonków.

Nie wierzył jednak, aby ojciec mógł dotrzymać przyrzeczenie, dane żonie w chwili zapomnienia. Na pytanie Michała, po co przyszedł, odkrył, że wie wszystko, lecz zarazem, że czci w nim twórcę wielkiego pomysłu. Tak, niech Otorgul z armią wkroczy w pół wąwozu, niech się ma za bezpiecznego, wtedy obaj zapalą stos i turcy do nogi wyginą.

Plan powzięty wkorzenił się zbyt mocno w duszę wodza. Nigdy tego nie będzie — odpowiada.

— Opuścisz naszą granicę, turcy spustoszą cały świat chrześciański?!

— On był mi niewierny.

— I wiarę?

— A czy dała mi koronę?

Spór rozpala się coraz zacieklej. Syn wpada w rozpacz. Ojciec zdrajcą... Wojownicy zabici będą w grobach swych jęczeć za jego zbrodnię, zdobyte na baszach chorągwie spoliczkują go, gdy wejdzie do świątyni, gdzie wiszą. Korona czoło mu spali.

— Ustąp!—woła ojciec. Pókim żyw, nikt stosu nie zapali.

Szczęknęła w dali broń turków. Konstantyn zbliża się do stosu. „Gdybym miał nawet ojcobójcą zostać, nie ulegnę hańbie." Dobywa miecza, ojciec również; po krótkiej walce Michał pada zabity.

Jak błyskawica, przebiegły sygnały po górach, gdy Konstantyn zapalił stos. Otorgul w zasadzce stracił życie. Po bitwie u stosu znaleziono ciało Michała. Sądzono, że legł z ręki podjazdu tureckiego i w Widyniu posąg mu wzniesiono. Następcą jego mianowano Konstantyna.

Lecz Erinny spadły na nieszczęsnego młodziana. Erinny orestowskie, ścigające ofiarę przez morza i lądy, dniem i nocą. Widmo ojca wciąż staje przed nim i darmo tłomaczy sobie, że zabijając rodzica, uratował jego cześć, że postępując inaczej, byłby zgubił ojczyznę i sławę rodziny. Krew opływa go wszędzie: widzi ją na mieczu i szatach, w czarze z winem. Nocą nieraz zrywa się z pościeli, pada na kolana i w piersi swe za pokutę twardym kamieniem uderza.

Erinny jak zawsze wiodą tan wkoło niego, z rozpuszczonym kruczym włosem i pochodniami w ręku.

Spostrzegają wreszcie niepokój i wzburzenie wodza żołnierze; zdziwienie ich i nieufność wzrosły, gdy Konstantyn, zamieniwszy dotychczasową walkę odporną na zaczepną, wywiódł ich równie na klęskę. Zaczynają podejrzywać go o zdradę. I w chwili, gdy król Stefan bierze młodzieńca w obronę, gdy chcąc dowieść zaufania względem niego, przyrzeka towarzyszyć mu w walce, występuje oskarżycielka, Bazylida. Nawet po zgonie męża nie mogąc rozstać się z myślą o koronie, doradziła przyjęcie fermana pasierbowi, a gdy ten propozycyę odrzucił, przed królem i je-

---

Kobieta.

Byłoby to bardzo dla mnie pożądanem, ale w ostateczności idzie mi o to, ażeby ją poznał. Zrób to.

Pirus.

Mogę, ale uprzedzam cię, że on zjada trzy kobiety dziennie.

Kobieta.

Jeśli go stać na to...

OBRAZ SZÓSTY.

Satar.

Zdaje mi się, że zanim rozpocznie się przedstawienie twej komedyi, uśniesz.

Anor.

Nie, nie usnę. Muza ciągle we mnie siedzi. Ile razy się zdrzemnę, ona zaraz mną wstrząśnie i obudzi. A chociażbym jak najwięcej wlał w siebie wina, nie zatopię jej, bo ona nie ma żadnej ciężkości i pływa po wierzchu. Upijają się tylko ludzie, którzy nie mają w swem wnętrzu muzy.

Satar.

Czemuż ona nie pomaga ci nóg prosto stawiać?

Anor.

Bo mówię ci, że teraz we mnie pływa i znajduje się w głowie. Kiedy jestem trzeźwy, wypełnia całą moją postać i wtedy trzyma mi nogi w porządku, prosto.

Satar.

Wiesz co, pójdź na chwilę do mnie: potrzebuję właśnie modelu do twarzy, z której przegląda muza namoczona w winie.

Anor.

Pójdę, bracie, bo nieśmiertelność dawno mi się należy. A jest na czem u ciebie się przespać?

Satar.

Bardzo wygodnie.

Anor.

To prowadź mnie. Śpiewasz „Srokę"? Nie?

Schroniliśmy się w gęstwinę
Z przed ludzkiego oka,
Ledwie ścisnąłem dziewczynę,
Zaskrzeczała sroka
Kra, kra!

Z wierzchu brzozy mnie dojrzała
I moją pieszczotkę,
Wnet kontenta odleciała,
Zanosząc w las plotkę

Podły ptak! Trochę za wiele piłem... wino wzbiera mi już do głowy... boję się, ażeby muza nie utonęła. Skit wszystkiemu winien. Po co dał pieniędzy? Kra, kra! Podły ptak!

Satar.

Chodź prędzej, ażeby twoja twarz nie straciła wyrazu.

Anor.

Kra, kra!

OBRAZ SIÓDMY.

Heron.

Nie wiesz przypadkiem, obywatelu, gdzie jest mój szwagier, Antjos?

Kobus.

Zapewnie gdzieś gnije.

Heron.

Co to znaczy?

Kobus.

Wszyscy tu gniją i ja także, czemużby więc on nie miał temu ulegać?

Heron.

Z lepszego materyału stworzony.

Kobus.

Rozumiem: jego ojcem był heban.

(D. c. n.)

go orszakiem złożyła list sultana, wydarty jakoby Konstantynowi.

Wojska wróciły ze zwycięzkiej bitwy, biskup prowadził je na nieprzyjaciela. Nowe trofea i tryumfy. Kipi plac publiczny w Widyniu, wypełnił go lud, oczekując wyroku na Konstantyna. Po wyroku odbędzie się zaraz egzekucya. Król przedtem każe przyprowadzić oskarżonego.

— Czy poznajesz ojca? — pyta. Przez dwanaście lat zasłaniał nasz kraj, aż zginął w jego obronie. Ze zdobytych przezeń armat ulaliśmy mu posąg. Ty, syn jego, zamiast wstąpić w ślady bohatera, zdradę miałeś knować. Oskarżają cię o zbrodnię najstraszniejszą w świecie. To chyba nieprawda, oczyść się, usprawiedliw.

A posąg jeźdźca zbrojnego, Michała Brankomira, opromieniło słońce i czoło ozłociło aureolą. Broń zabłysnęła, jak wtedy, gdy przeciw wrogowi ojciec ją gotował. I błysk ten i światłość w duszy wszystkich otaczały pamięć dawnego wodza. Jedno słowo starczyłoby podsądnemu do uwolnienia się. Ale to słowo padłoby błotem ulicznem na posąg, chmurą na słońce, wstydem na sławę. Ów jeździec runąłby pod jego naciskiem w pył, runąłby strzaskany, rozbity w kawały, zdeptany.

Konstantyn nic nie odpowiedział. Nie chciał być dwakroć ojcobójcą.

Wyrok zapadł okrutny. Ni stos, ni miecz, lecz życie. Uwiązanym będzie aż do śmierci u podnóża posągu ojcowskiego, a każdy przechodzień w twarz mu plunąć winien.

Wtedy Milica przez tłum przewija się. O ojcobójstwie nie wie, lecz wie, że Konstantyna kocha i że on nie zdradził. Życie, jakie mu pozostało, nie jest życiem. I z zanadrza dobywszy sztyletu, który otrzymała ongi w podarku od lubego, przebija mu serce. Potem sobie odbiera życie.

Powodzenie, jakiego doznaje dramat Coppéego na scenie i w wydaniu książkowem (sto dwadzieścia przedstawień w ciągu pięciu miesięcy i piętnaście wydań), słusznie spotkało piękny ów utwór. Mimo formy dramatycznej, robi on na mnie wrażenie poematu. Styl jego przypomina wiersz Schillerowski, jak u Schillera nikt w życiu tak nie mówi, a jednak każde zdanie robi wrażenie przyjemne.

Podobnie jak w poemacie epicznym, nie przekraczającym średnich rozmiarów, wykończoną jest w „Pour la couronne“ psychologia jednej zwłaszcza osoby — bohatera. Konstantynowi przyglądamy się w różnych chwilach życia: gdy przyprowadza jeńców z pola bitwy, gdy targa się na swe uczucia synowskie i honorowe, idąc podsłuchiwać ojca, gdy go zabija i opłakuje. Milica, jako dzieląca z nim główną rolę, wykonana także pełniej. Stefan, Michał, Benko, Bazylida, wszyscy żywi i prawdziwi, na drugim już stoją planie. Także bardziej poematowem wydaje mi się zakończenie: wobec czytelników usprawiedliwiony Konstantyn, nie jest nim wobec pozostałych przy życiu osób dramatu. Zstępuje do grobu ze swą pozorną hańbą.

Upatrzone przez kilku krytyków francuskich podobieństwo dzieła Coppéego do Schillerowskiej Orestei, nie jest uzasadnionem. Istnieje tylko pewna analogia w cierpieniach z powodu ojcobójstwa między Orestem i Konstantynem. Konstantyn ginie dlatego, że chce zginąć, że życie dla niego urok straciło, nie że uderzył w niego topór fatalności. Bliższy on jest czasów naszych, niż greckich.

W. Bugiel.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

STOWARZYSZENIA OCHRONY PRAWNEJ DLA KOBIET.

Nieraz słyszeć się dają zdania o braku poczucia etycznego u kobiet. Zdania te, popierano całym szeregiem przypadków prawnych, mają dowodzić, że kobieta nie posiada tak wyrobionego zmysłu sprawiedliwości, jak mężczyzna, że postępuje nieraz wbrew wszelkim przepisom i ustawom, nie zdając sobie nawet dokładnie z tego sprawy. Fakty te jednak najczęściej dadzą się wytłómaczyć nieznajomością prawa. W całym szeregu wypadków, gdzie mężczyzna z dobrą wiedzą strzeże się, aby nie wejść w starcie z kodeksem, i mimo to nie zawsze postępuje szlachetnie, chociaż prawnie, kobieta działa wtedy naczęściej całkiem na oślep, nie wiedząc o następstwach, jakie jej czyn pociągnąć za sobą może, i nieraz z pobudek najszlachetniejszych dopuszcza się czynu karygodnego. Wola złą nie jest i nie złe motywy skłaniają ją do sfałszowania podpisu ojcowskiego. Jest ona tylko w najwyższym stopniu nieświadomą i nie pojmuje grozy swojego czynu. A taką bywa nietylko Nora. Tysiące kobiet przechodzą przez życie, nie znając zupełnie całego ogromu kwestyi i pytań, o które potrącają na każdym kroku. A przecież świat jednako sądzi wszystkich — zarówno tych, co stoją z oczyma zawiązanemi, jak tych, co patrzą wszędzie i widzą wszystko. Stąd to olbrzymie niebezpieczeństwo dla kobiety, nie obeznanej z granicami swobody i zakazu, nie wiedzącej, co należy się jej słusznie, a czego domagać się nie ma prawa. Na niebezpieczeństwo to narażona jest kobieta uboga. Należąca do klas uprzywilejowanych zawsze poradzić sobie zdoła: w sprawach majątkowych zastępuje ją mężczyzna — mąż albo ojciec, a po za niemi nie ma sposobności zetknąć się bliżej z życiem. Siedząc jak Płoszowski na wysokości, otoczona atmosferą sztuki i piękna, jeżeli nie wygodnego spokoju, nie może zetrzeć się z rzeczywistością. Inaczej rzecz się ma z kobietą ubogą. Czy pracuje jako matka licznej rodziny na utrzymanie dziatwy, czy jako młoda dziewczyna, zajęta w fabryce lub w warsztacie, zawsze ma ona tysiąckrotnie sposobność do zetknięcia się z ustawą, której nie zna. Naturalnie, że w wypadkach, kiedy poradzić sobie nie umie, narażona jest albo na wyzysk ze strony adwokatów, albo na najokropniejsze nadużycia ze strony chlebodawców, którym najczęściej z milczącą rezygnacyą się poddaje. Wynikiem tych stosunków jest agitacya, prowadzona od kilku lat na Zachodzie, a mająca na celu zaopiekowanie się kobietą, nie obeznaną z prawem i wskutek tego krzywdzoną niejednokratnie. Ta dążność do ochrony prawnej występuje obecnie w dwojakim kierunku: praktycznym i teoretycznym. Teoretycznie działają uczeni i publicyści, zajmujący się w niezliczonych już dzisiaj pismach i broszurach wykazaniem, o ile ustawy obowiązujące upośledzają kobietę, tamują jej wolność, wiążą ręce, tudzież o ile i w jakich kierunkach zreformowaćby je należało. Pomijając na razie tę niesłychanie doniosłą i już dziś w skutki obfitą pracę teoretyczną, przypatrzmy się nieco praktycznej. Objawia się ona w działalności stowarzyszeń ochrony prawnej dla kobiet. Działalność ta jest tak zbawienna, pomoc w pewnych wypadkach i wpływ na opinię tak nieocenione, że żałować tylko wypada, iż one nawet za granicą są jeszcze mało rozpowszechnione, a u nas nieznane zupełnie. Stowarzyszenia owe powstają wszędzie, dzięki inicyatywie kobiet, pragnących złagodzić rozpaczliwe położenie biednych istot, które padają ofiarą własnej nieświadomości lub wyzysku. Mając na swe usługi prawnika, udzielają one bezpłatnie wszelkich informacyj w kwestyach prawnych i załatwiają wszystkie sprawy, w których kobieta bywa skrzywdzoną. Doglądają więc należytego wypłacania pensyi robotnicom, uniemożliwiają ciągłe zrywanie kontraktów, wnoszą skargi na okrutne obchodzenie się z robotnicami lub przeciążanie ich pracą itd. Wkraczają one nawet w życie rodzinne: przeprowadzają rozwody, poszukują ojców, ustanawiają opiekę nad małoletnimi. Znaczenie tych stowarzyszeń jest niezwykłe. Obok tego, że ratują od zguby lub niedoli cały szereg jednostek, są jeszcze nadzwyczaj silnym czynnikiem, wpływającym na opinię, stanowią punkt oparcia dla kobiety pokrzywdzonej, która wie, gdzie w razie niebezpieczeństwa szukać ma pomocy. Z chwilą, kiedy chlebodawca wie, że za biedną pracującą dziewczyną stoi siła, stowarzyszenie, które się za nią ujmie, liczy się on bardziej ze swem postępowaniem.

Jak wszystkie ulepszenia, dotyczące doli kobiet, tak i to pochodzeniem swojem zdradza Amerykę. W Chicago od r. 1886 istnieje tak zwana „Protective Agency,“ która w przeciągu siedmiu lat swego istnienia, tj. do roku 1893, przeprowadziła nie mniej, niż 7,197 skarg i dochodzeń sądowych. Jest to instytucya, założona na wielką skalę, z którą żadne europejskie stowarzyszenie równać się nie może, a opiera się ona na społeczeństwie bardzo bogatem i skłonnem do ofiar. Nic więc dziwnego, że do 1893-go roku zebrała z dobrowolnych składek około 1½ miliona dolarów na pokrycie kosztów przy przeprowadzaniu spraw i wspieranie kobiet, pozbawionych chwilowo zajęcia, wskutek nadużyć. Podobna ofiarność w Europie wydaje się czemś nieprawdopodobnem, chociaż przyznać należy, że i tu stowarzyszenia stosunkowo wspaniale się rozwijają. W Europie powstały one najpierw w Anglii, od niedawna ma i Paryż swój związek „Ligue du droit des femmes,“ na którego czele stoi pani Marya Poguon. Z miast niemieckich było pierwsze Drezno, gdzie pod przewodnictwem pani Adeli Gamper, żony tamtejszego pastora, powstał dwa lata temu „Rechtschutzverein für Frauen,“ a w bieżącym roku doniosły dzienniki o założeniu podobnego związku w Wiedniu. Odmiennem jest stanowisko kobiet europejskich, np. niemieckich, od stanowiska, jakie w tej sprawie zajmują amerykańskie. Jeżeli te przedewszystkiem mają na celu względ praktyczny, to niemkom chodzi też o budzenie poczucia etycznego wśród niewiast, o wyrobienie zmysłu sprawiedliwości. Taka „Protective Agency“ walczy o prawa kobiety jedynie czynnie; co leży po za tem, nie wchodzi w zakres jej działalności. W stowarzyszeniach niemieckich odbywają się odczyty i pogadanki, sprawozdania z ruchu niewieściego za granicą, a zwrócenie uwagi na różnicę prawną między kobietą a mężczyzną, wzbudzenie w niej niezadowolenia i panującej ustawy — oto cel, do którego zmierzają niemki i francuzki z całą świadomością. Różnica ta w pojmowaniu swego zadania jest zupełnie usprawiedliwioną. Amerykanka nad zasadnością obowiązującego kodeksu zastanawiać się nie potrzebuje. Rząd Stanów Zjednoczonych przedewszystkiem opiekuje się kobietą, zapewniając jej zupełnie równe stanowisko z mężczyzną. Stowarzyszeniom tamtejszym idzie więc tylko o ściśle przestrzeganie ustawy, gdy tymczasem we Francyi lub w Niemczech kobiety chcą przekonać ogół, o ile

ta ustawa jest niesprawiedliwa. Stąd to stowarzyszenia amerykańskie przedstawiają się jak bardzo dobrze zorganizowane kancelarye adwokackie z personelem żeńskim, gdy tymczasem w związkach francuskich lub niemieckich wiele się rozprawia. Pomimo to jednak, przeglądając sprawozdania tych towarzystw, czujemy dobrodziejstwo ich istnienia, a widząc całą grozę społecznej nędzy, z którą walczą, cały szereg nadużyć, które usuwają, cały ogrom bezprawia, który wstrzymują — pojmujemy, że tu stoi kobiecie otworem działalność bardzo piękna, a jak dotychczas, zupełnie niewyzyskana.

Helena Erté.

SZPITALE

Do spraw, skazanych na wieczną pokutniczą wędrówkę w pismach naszych, obok bulwarów Dovarsa, oświetlenia elektrycznego, należały także przenosiny szpitala Dzieciątka Jezus. Pogłoska ta jednak po kilkoletniej podróży zdaje się wkrótce już zejdzie ze szpalt dziennikarskich do praktyki, bo oto rada państwa już poleciła oddać na własność zagranicznemu towarzystwu kapitalistów posesyę, zajętą przez szpital, ze wszystkiemi zabudowaniami za sumę rs. 1,475,000 ze spłatą w ratach następujących: przed październikiem 375,000 rs., w styczniu r. 1896, 97, 98 i 99 po rs. 275,000. Inne punkty zalecają przez osobną umowę określić warunki sprzedania powyższych nieruchomości w miarę ich opróżnienia, dalej zatwierdzić osobną ugodę pomiędzy magistratem a nabywcami posesyi co do przeprowadzenia ulic, uwolnić nowych właścicieli gruntu i zabudowań od opłaty skarbowej za akt przelewu. Otrzymane ze sprzedaży sumy, w miarę ich wpływania, oddawane będą do rozporządzenia warszawskiej rady dobroczynności publicznej na rzecz wzniesienia na Folwarku Świętokrzyskim nowych zabudowań szpitalnych.

Szczegóły te, jako treść postanowienia urzędowego, dostatecznie stwierdzają realność długoletniego projektu, który z chwilą przejścia w czyn będzie faktem bardzo doniosłym dla mieszkańców Warszawy. Przedewszystkiem ogromny kwadrat zabudowań w środku miasta będzie usunięty, a natomiast powstaną nowe ulice i domy — ozdoba miasta. Krzywe i niewygodne zaułki, jak część Zgody i Przeskok, znikną zupełnie, miasto zyska nietylko na estetyce, ale zdrowotności i uproszczonej komunikacyi. Lecz najważniejsza to, że szpital przeniesiony na Folwark Świętokrzyzki będzie zupełnie nowym gmachem, a więc zapewne pozyska wszelkie urządzenia według najświeższych wymagań, będzie miał osobne budynki skarbowe na muzea patologiczne i anatomiczne, laboratorya itd. Chcemy wierzyć, że Rada miejska wysili się na to, ażeby nowy gmach odpowiadał najbardziej wygórowanym warunkom zdrowotności i nauki, że zatem nietylko znajdą tam osobne wygodne pomieszczenie chorzy wszelkiej kategoryi, ale i sale będą odpowiednio urządzone. Tym, do których ta cała robota należy, szczerze radzimy zwiedzić przed tem najwzorowsze zakłady zagraniczne i — przeczytać wyborną broszurę d-ra Zygmunta Kramsztyka p. t. „O znaczeniu szpitali" (Warszawa, 1892). „Ideałem sali operacyjnej — mówi autor — byłaby dęta kula szklana, bo i światło dostęp miałoby zupełny i ściany kuli najłatwiej i najdokładniej oczyścić by się dały i otwór do spływu wody u dołu geometryczne znalazłby miejsce." Właśnie wszystkie nowe sale operacyjne są do tego ideału zbliżone. Nasze zaś gmachy stare, w najpierwotniejszy sposób wzniesione, nie odpowiadają najskromniejszym wymaganiom hygieny i techniki dzisiejszej. Wogóle wszystkie szpitale u nas przypominają mocno tę zasadę, jaka przed stu laty panowała: ekonomia miejsca. Starano się na możliwie najszczuplejszej przestrzeni umieścić jaknajwięcej chorych. Dalej: długie, wązkie i ciemne korytarze; po jednej albo obu ich stronach sale. Ten styl klasztorny nosi osobną nazwę: szpitali korytarzowych. Prawda, że dziś nie mamy takich warunków, z jakich słynął *Hôtel Dieu* w Paryżu, gdzie na każdem łóżku *sześciu* dorosłych, albo *ośmioro* dzieci umieszczano. Ale za to ktoś np. z kawałkiem noża w piersiach, ze złamaną nogą, rozprutym brzuchem lub silnie rozwiniętym dyfterytem w gardle, może parę godzin jeździć od szpitala do szpitala, zanim go przyjmą nareszcie. Wogóle brak miejsc w niektórych porach roku w stosunku do liczby chorych bywa przerażający, a ciasnota i niewygody utrwaliły nieufność naszego ogółu do tych zakładów. Porównajmy je z zagranicznymi. Taki *Hôtel Dieu* (nowy) w Paryżu, albo szpital Rudolfa w Wiedniu, to gmachy imponujące nietylko ogromem, lecz i urządzeniem wewnętrznem. W podziemiach kuchnie, składy, pralnie, wózki na szynach, mosty służą do ułatwienia komunikacyi, windy przenoszą chorych, pokarmy, bieliznę na drugie i trzecie piętro. Ale i te gmachy mają zasadnicze wady. Posiadają np. wielką wygodę dla obsługi, ale nie dla chorych, którzy, niestety, nie mogą zapomnieć, że są w szpitalu, a rekonwalescenci nie mają przestrzeni swobodnych na świeżem powietrzu, ani ogrodów odpowiednich. U nas jeden tylko szpital św. Ducha, zbudowany sposobem pawilonowym, można zaliczyć do lepszych.

Zobaczmy, jak wygląda najnowszy typ zakładów takich: domki parterowe, najwyżej piętrowe, rozsypane na znacznej przestrzeni, która jest niemal jednym ogrodem. Sale widne, wesołe, dające się łatwo, dokładnie oczyszczać. Są to jedynie sypialnie; spędza w nich cały dzień tylko ten, kto musi leżeć. Istnieją pokoje stołowe, przeznaczono także dla czytania i rozrywek. Mają one obszerne, otwarte ganki, werendy dla chorych i osłabionych, którzy jeszcze do ogrodu wyjść nie mogą, gdzie nawet obłożni mogą być przenoszeni. Taki szpital wygląda jak osada, rozsypana w zieleni i odznacza się przedewszystkiem prostotą architektoniczną i wewnętrzną. Pralnia, kuchnia, izba dezinfekcyjna są zupełnie oddzielne.

Zdaje się, że miejsce, obrane na nowy szpital Dzieciątka Jezus będzie miało poniekąd warunki, nadające się do takiego systemu, tj. dość znaczny obszar. Chcemy wierzyć, że Rada miejska, uwzględni takie najnowsze wymagania, że będzie pamiętała o tem, iż nowy zakład ma służyć dla wielu pokoleń, że zatem powinien być wzorową lecznicą, zachęcającą, a nie odstręczającą, przystępną dla biednych i zarazem — wyborną pracownią naukową. Przytem należałoby urządzić zupełnie osobny oddział dla chorych zaraźliwych. Wreszcie trzeba pomyśleć o tem, ażeby zdrowi, odwiedzający chorych, mieli wstęp łatwiejszy niż dzisiaj, nie byli skazani na uciekanie się do protekcyi lekarzy dyżurujących, częstokroć niewzruszonych, na prośby, lub co gorsza, do łaski szwajcarów, chciwie do ręki zaglądających.

P.

JÓZEF STUMMER.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Po Matlakowskim zeszedł przed kilku dniami do grobu jeszcze jeden pracownik niwy lekarskiej, którego płodna działalność pozostawiła ślad znaczny i przyniosła sporo pożytku dla społeczeństwa. Był on synem Jana, także doktora medycyny, profesora anatomii i fizyologii na wszechnicy Jagiellońskiej, tudzież profesora anatomii i położnictwa w uniwersytecie warszawskim. Józef Stummer po skończeniu gimnazyum w Radomiu wstąpił na wydział medyczny do wszechnicy Jagiellońskiej, gdzie r. 1855 otrzymał stopień doktora medycyny. Dla uzupełnienia studyów w zakresie akuszeryi udał się do Paryża i Wiednia i następnie otrzymał tytuł magistra akuszeryi w Wiedniu. R. 1857 złożył egzamin na doktora medycyny w warszawskiej radzie lekarskiej, poczem r. 1860 zajął posadę ordynatora przy szpitalu ewangelickim. Od r. 1871 aż do ostatniej chwili pełnił obowiązki lekarza Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci w Mokotowie, którego był serdecznym opiekunem i przyczynił się do jego rozwoju. Niezmordowany w pracy, szczerze się troszczący o zdrowie powszechne, ukochał Szczawnicę, jak Chałubiński Zakopane, podniósł ją dla dobra ogólnego. Pozostawił sporą wiązankę prac specyalnych: „Słowo o kretynizmie" (część ogólna rozprawy konkursowej, uwieńczonej przez wszechnicę Jagiellońską); „Jak dawniej pojmowali chorobę i tłomaczyli sobie jej objawy, a jak ją dziś pojmujemy"; „Uwagi nad zboczeniem ruchów w chorobach mozgu"; „Rak śródpiersia przedniego"; „Szczawnica i jej potrzeby"; „Apteczka wiejska"; „Guz w przednim płacie półkuli mózgowej"; „Użycie enem gazowych w zaciśnięciu kiszek."

PAMIĘTNIK.

Znowu etyka.

Ach, te etyki! Mają je już (swoje własne) siodlarze, cukrownicy, giełdziarze, każdy stan, który potrzebuje przekuć interes na moralność. Jak wiadomo, w ostatnich czasach wystrugali sobie odrębną etykę nasi lekarze. Niejednokrotnie mieliśmy sposobność wykazywać jej rzeczywistą wartość moralną, gdy ona np. pozwala, ażeby raczej chory umarł, niż żeby stał się powodem pogwałcenia „przyzwoitości" koleżeńskiej. Obecnie *Kronika lekarska* znowu zbogaciła ową „etykę" uwagami o zarobkowaniu doktorów w Warszawie. Według niej, zarobkowanie to jest dziś wielce utrudnionem nietylko skutkiem nadmiaru leczących, ale także skutkiem udzielania porad bezpłatnych ludziom zamożnym w ambulatoryach, poliklinikach prywatnych i t. p. Bezwątpienia, kto za usługę płacić może, płacić powinien, ale na wyzysk skarżyć się może tylko wyzyskiwany. Co „etyce" do tego, że mnie się podoba leczyć kogoś lub bronić w sądzie bezpłatnie? Czyż go przez to krzywdzę? A gdyby nawet lekarze chcieli w ambulatoryach odsuwać biednych od bogatych, jakże tego dokonają? Czy wymagać będą od pacyentów dowodów ubóstwa, poświadczonych przez rządcę domu i cyrkuł? *Kronika* twierdzi, iż polikliniki prywatne są tylko sztuczką efektowną. Niechże więc nam raczy opowiedzieć: dlaczego lekarz, nawet posiadający dużą praktykę, dobija się o miejsce w szpitalu, które mu przynosi 300 rs. rocznie, lub nic? Czy taka pensya wynagradza jego pracę? Nie, a on jednak chce zostać ordynatorem lub asystentem — dlaczego? Przedewszystkiem dlatego, ażeby zyskać pole do obserwacyi, do zbierania materyału naukowego i doświadczeń. Otóż poliklinika tania lub bezpłatna zastępuje poniekąd lekarzowi szpital. A że, również jak szpital, rozszerza jego praktykę, w tem nie ma nic zdrożnego. Obyśmy tylko taką drogą zdobywali pracę i uznanie, obyśmy tylko tem

grzeszyli jako lekarze, że między dziesięciu biedaków wciśnie nam się do parady bezpłatnej jeden pacyent zamożny. Kryminologowie powiadają, że lepiej uwolnić dziesięciu winnych, niż skazać jednego niewinnego. Daleko bardziej należałoby sobie tę zasadę przyswoić w medycynie.

Wogóle kwestya małych zarobków lekarskich w Warszawie, postawiona przez *Kronikę* niepotrzebnie na gruncie etycznym. Jest to sprawa czysto ekonomiczna, sprawa zbytniego nagromadzenia się pewnych sił w jednem miejscu, a nie morały, lecz żelazna konieczność zmusi je do rozproszenia się na większej przestrzeni.

Z tajemnic ekonomicznych.

Wobec powszechnych narzekań na drożyznę chleba, *Gazeta rzemieślnicza* postanowiła tę sprawę wyświetlić i przekonać ogół, że drożyzny nie było i nie ma, że piekarze nie robią dobrych interesów, nie bogacą się i nie wyzyskują. Wiadomo, że zanim zboże dojdzie do spożywcy w postaci bochenka chleba lub bułki, musi przejść przez podwójną fabrykacyę: młynarską i piekarską, a zarazem przynajmniej przez dwa pośrednictwa. Otóż ani fabrykacya, ani pośrednictwo w ostatnich latach nie staniały, lecz przeciwnie — podrożały. Koszty „przemiału“ wynoszą w młynach około rubla na korcu, bez względu, czy zboże tanie, czy drogie, koszt zaś pieczywa, nie licząc mąki, czyni przy produkcyi chleba 40—50 kop., a „białego“ (bułek) — 50—60 kop. i więcej od puda, niezależnie od ceny mąki. Na mocy tych danych *Gazeta* stara się dowieść, że cena zboża musi mieć „pewien“ wpływ, „lecz nie taki prosty i widoczny, jak się zdawało“ i wślad za tem roztacza obraz warunków: Ceny zboża a następnie mąki w maju zaczęły się podnosić prawie z dniem każdym. Pieczywo wszakże skutkiem deklaracyj, składanych przez piekarzy w magistracie co dni piętnaście (1-go i 15-go), mogło być w cenie podniesione tylko w tych terminach. „Zatem jeżeli piekarz posiadał zapas mąki choćby na pół miesiąca, nic nie tracił; jeżeli posiadał na dłuższy czas — zarabiał, ale jeżeli nie miał zapasu żadnego lub na czas krótszy, aniżeli ten, jaki mu pozostawał do końca terminu deklaracyi — tracił. Kto zna stosunki piekarzy naszych, wie, że tylko zamożni lub prowadzący interes na większą skalę, posiadają zapasy na pół miesiąca, niekiedy na miesiąc, wyjątkowo tylko na czas dłuższy. Większość na dni dwa, trzy, do ośmiu najwyżej. Ci więc wobec zwyżki mąki byli narażeni na stratę, a ponieważ zwyżka stopniowa trwała w ciągu prawie dwóch miesięcy — było dostatecznie czasu, ażeby tych, co nie mieli kapitału zasobowego wcale lub mieli go niewiele — doprowadzić do upadłości.“ Jakże wobec tych faktów pogodzić zapewnienie *Gazety*, że ceny zboża mają wpływ na pieczywo niezbyt widoczny? — Chyba dla krótkowidza. — Jeżeli losy piekarza zależą od ilości zapasów mąki, a więc od ceny, to już oczywisty dowód, że ta cena jest ważnym i bezpośrednim czynnikiem. Dopiero po za tem idzie szereg innych, które nie przynoszą pożytku ani piekarzom, ani spożywcom; głównie zaś pośrednictwo, pobierające znaczny haracz, ze szkodą kieszeni ogółu. Następnie ważną rolę gra gorączka zaciekłego współzawodnictwa, zabójcza dla przedsiębiorców, a dobra tylko na razie — dla konsumentów. Wielcy i silni piekarze, których stać było na poczynienie znacznych zakupów podczas stanienia mąki, mogą nawet krótkotrwałem zniżeniem do minimum cen pieczywa zabić swych słabych współzawodników, oczywiście dlatego, ażeby następnie podnieść taksę do poziomu, pozwalającego wyrównać straty, poniesione w walce. Nierówność sił sprawia jeszcze i to, że jednocześnie mogą być różne ceny pieczywa — tem większe, im przedsiębiorstwo jest mniejsze. Przy zaglądaniu do tajemnic piekarstwa, mimowoli odsłaniają się inne. *Gazeta rzemieślnicza* zaznacza, iż dostarczycielem mąki dla jednego z wielkich piekarzy był p. W., który wyrobił sobie komisową sprzedaż tego produktu podczas pobytu w Petersburgu na zjeździe młynarzy. „Początek więc opieki — dodaje pismo — nad interesami młynarstwa krajowego nie udał się. Szkoda. Pomysł był tak świetny! Wprawdzie młynarze nasi możeby woleli, ażeby p. W. sprzedawał mąkę tutejszą, ale dlaczegóż nie postarali się wprzód o względy tak solidnego przedstawiciela?.. Kaptowano go wprawdzie tytułem „prezesa,“ ale na czułe słówka taki pan nie daje się łapać. Tytuł tytułem, a szkatuła szkatułą.“ Dopisek ten wymaga wyjaśnienia. Owym panem W., który sobie wyrobił komisową sprzedaż mąki z Cesarstwa, jest p. Bronisław Werner, delegat zjazdu, wysłany do Petersburga przez młynarzy z Królestwa po to, ażeby ich ochronił przed nadmiernym napływem mąki z Cesarstwa na rynki tutejsze. Do p. Wernera, agenta młynarzy ruskich, nie można mieć żadnych pretensyj; postąpił on bowiem całkiem logicznie, jak mu interes kazał: W Petersburgu podczas obrad bardzo przyzwoicie pokrył milczeniem wszystkie powierzone mu kwestye, niezgodne ze sprawami jego „domu handlowego.“ Wyrobiwszy sobie na zjeździe komisową sprzedaż, wycofał się z wszelkich zaszczytów prezesoskich i godności przedstawiciela młynarstwa tutejszego. Dziwić się raczej trzeba łatwowierności naszych wytwórców, którzy wybrali takiego orędownika i przez to stracili dobrą sposobność — uregulowania warunków i wzmocnienia sił swoich. Czyż można było przypuszczać, że p. B. Werner, handlarz zbożowy i mączny, a obecnie dostawca mąki na rynki tutejsze, będzie tamował jej dopływ, niezbędny dla rozwoju „domu handlowego“? Wytwórcy nasi (rolni) dawniej również upoważnili tego samego przedstawiciela do udziału w pracach nad reformą taryf zbożowych, które, skutkiem ukrycia światła w kieszeni prywatnej, nie zrównoważyły całkowicie potrzeb ogólnych. *Z.*

Żebractwo.

Dr. Józef Tchórznicki, znawca stosunków prowincyonalnych, od czasu do czasu wydobywa na wierzch jakiś nienormalny szczegół życia i wskazuje lub stara się wynaleźć środki usunięcia złego. Obecnie przedstawił w *Słowie* obraz najpowszedniejszy — żebractwo, ale w silnem oświetleniu. Na pierwszym planie stoją z wyrazem opilstwa wydrwigrosze, na których widok w lesie trzeba byłoby mimowoli sięgać do kieszeni nie po grosz, lecz—broń. Nikt im nie ufa i przy drzwiach mieszkania, gdyż w oczach włóczęgi błyszczy żądanie i groźba: „Daj, bo jak nie dasz...“ Dalej nikt nie czyta, lecz przez przymknięte podwoje datek wysuwa. Po za tą gromadą ciągną szeregi innych: pogorzelców, „ofiar losu,“ „z miną szczerą, uczciwą, proszących z pokorą, bez nalegania.“ — Jak odróżnić fałsz od prawdy? — zapytuje autor i nie może znaleźć na to sposobu. Te rzesze nie posiadają żadnych świadectw wiarogodnych. „Społeczeństwo nasze — powiada dr. T. — uczuwa potrzebę opiekowania się biedniejszą bracią, lecz jednocześnie uczucie to jest paraliżowane i doprowadzane prawie do oziębłości właśnie przez tych włóczęgów, którym pomagać nie ma celu. Krążące po kraju indywidua, po których wizycie nader często brak łaski lub parasola, zabierają znaczną część funduszów, przeznaczonych dla rzeczywiście biednych. Publiczność, uwzględniając żebraków wędrownych, zaspokaja w delikatny sposób ich potrzeby, a przez to o wiele mniejsza kwota pozostaje dla miejscowych. Ta właśnie okoliczność sprowadza rozstrój w całej sprawie. Nieznani obcy żebrzą u nas, a publiczność przyjmuje ich z niedowierzaniem; nasi żebrzą w innych okolicach z takimże rezultatem. I tu i tam panuje doraźna pomoc; i tu i tam zbywają natrętów i kończą bilans roczny dość znaczną sumą, z niepewnością, czy wydany grosz dosięgnął celu. Suma ta jednak nie zaradziła złemu — a właściwie nikt nie ma pojęcia, czy, gdzie i jakie wydała owoce. A zatem słabnie chęć do ofiar i wytwarza się „lekceważenie biednych.“ Naturalnie. Żebractwo jest rzeczą naganną i niemiłą — lecz karmi ono tysiące tych, którzy na pewno staliby się złoczyńcami, gdyby nie to, że dziesiątki owe pozwalają nieszczęśliwym upijać się i zalewać wewnętrznego „robaka,“ który ich toczy, zaspokajać głód, odsuwać gorsze myśli i wreszcie umierać w rowie i robić tylko kłopot policyi.“ Zbyt jaskrawo wychodzą u autora obliczenia przeciętne, ale niema powodu im niedowierzać. Twierdzi on, że każdą chałupę wiejską odwiedza codzień 3—6 żebraków. Jeden gospodarz na opędzenie się tym nędzarzom ponosi haracza średnio 10 rs. rocznie. Za środek zbawienny dr. T. uważa stworzenie powiatowych towarzystw dobroczynności z centralnym zarządem w mieście powiatowem i oddziałami w gminach. W każdym obrębie działalności takiej instytucyi można zebrać około 10,000 rs. rocznie za pomocą bardzo umiarkowanego opodatkowania ludności dostatniej i — z ofiar dobrowolnych. Wybierani przedstawiciele gmin prowadziliby spis ubogich, sprawdzaliby ich istotne położenie itd. Zarząd powiatowy wznosiłby przytułki, tanie kuchnie, szpitale dla biednych i domy zarobkowe. W recepcie tej nie widzimy nic nowego. Podsuwana jest wszakże, z dodaniem mniejszej lub większej proporcyi środków kojących. Ma ona takie same znaczenie, jak przypalanie raka lub obmywanie go jakimś roztworem. Dotychczas jeszcze nie wynaleziono żadnej surowicy, wydobytej z soków życia społecznego, więc trzeba przyjmować to, co jest pod ręką. Przecież i przykładanie blaszek, jak utrzymują wyznawcy tego środka, przynosi ulgę chorym. I chwilowe znieczulenie bólu jest dobre, gdzie niemożliwa operacya. Niech tylko pomoc będzie rzetelna i szczera, niech ona nie przykrywa ran i brudu nędzy czystym łachmanem.

Z tygodnia.

W przeszłym tygodniu zajmowaliśmy się również pewnym krawcem. Pisma, które temu mężowi poświęciły szczególną uwagę, wymyślały najrozmaitsze *à propos des bottes* dla przypomnienia nam, że ów krawiec przeniósł swój magazyn z ulicy X. na ulicę Y. Zapewne wielu z czytelników, kilkakrotnie powiadomionych o tym ważnym fakcie, zadało sobie pytanie: co się kryje po za tą troskliwością reporteryi względem jednego krawca? Nie mamy ścisłych informacyj, ale z długoletnich doświadczeń i znajomości naszych stosunków dziennikarskich możemy wysnuć nader prawdopodobną hipotezę, że tu kryje się miłość idealna, szacunek bezinteresowny. Czem szczęśliwy krawiec tak zaskarbił sobie łaski reporterów, nie wiemy, ale wierzymy niezbicie, że zyskał je zasługami wyłącznie duchowej natury. Pomimo to bylibyśmy jego wielbicielom bardzo wdzięczni, ażeby w przyszłym tygodniu już nam nie donosili: „z powodu sprzedaży szpitala Dzieciątka Jezus winniśmy zaznaczyć, że krawiec... przeniósł swój magazyn z ulicy X. na ulicę Y.“ Bo dosyć mamy już tego szydła.

Towarzystwo ogrodnicze, obdarzone sowicie przez zmarłego K. Paprockiego, zwołało nadzwyczajne zebranie swych członków dla rozstrzygnięcia kwestyi: czy dar ten posiada rzeczywiście znaczną wartość? Po krótkich rozprawach przekonano się, że chociaż nieboszczyk przecenił swój

majątek (oszacowawszy go na 200,000 rs.), jednakże po przyjęciu nawet normy Towarzystwa kredyt. ziemsk. (105,000 rs.) i odtrąceniu zapisów, pozostanie jeszcze bardzo duży zasiłek dla instytucyi. Wybrano tedy delegacyę, która ma się porozumieć z innymi legataryuszami, a przedewszystkiem z żoną zmarłego o spłatę dożywocia jakąś umówioną sumą, co byłoby najlepszem wyjściem.

Dzięki zgarnięciu przez policyę do ula roju pszczółek, które w cukierni ogrodu Saskiego wyrabiały miód gieldowy, wysysając rozmaite akcye, brzęczenie ich ustało. Już nie słyszymy o „Lilpopach,“ „Rudzkich,“ „wagonach“ itp., co wszakże nie znaczy, ażebyśmy wkrótce o nich nie mieli usłyszeć. Pomiędzy aresztowanymi znajdowało się trzech przysięgłych agentów giełdy warszawskiej, która zawiadomiona o tem, nie uznała — jak donosi *Warsz. Dziennik* — za stosowne dać im dymisyi, gdyż według jej kodeksu nie popełnili oni nic karygodnego. Z tego jej zachowania się wnoszę, że mała giełda, uprawiająca grę akcyami, zmartwychwstanie niedługo w innem miejscu. Naszem zdaniem, owi agenci, chociaż ją mogą podniecać jako uczestnicy, nie są jej całym ogniem, który płonąć będzie również i bez nich. Przecież dokonywane tam obroty nie wymagają wcale przedstawicieli urzędowych i wogóle gruntu prawnego. Gdyby on im był potrzebny, nie wyszłyby po za mury gmachu giełdowego i nie chroniły się po cukierniach. Ten nowotwór należałoby wyciąć szerzej i głębiej.

W DALI.

Łódź. Sezon nadchodzący zapowiada wielkie ożywienie we wszystkich fabrykach miejscowych. Zamówienia zwiększyły się znacznie (szczególnie na wyroby bawełniane) z różnych stron Cesarstwa. Taki sam stan rzeczy daje się spostrzegać w Zgierzu, Pabjanicach, Tomoszowie tudzież Częstochowie. W tej ostatniej przemysł nadzwyczaj szybko wzrasta; ogólna produkcya fabryk wynosi przeszło 10 milionów rubli rocznie. Nadto powstają ciągle nowe zakłady. — Fabrykanci warszawscy i łódzcy, jak donosi *Now. Wrem.*, starają się o pozwolenie zawiązania biura pośrednictwa, ułatwiającego stosunki handlowe pomiędzy posiadłościami rosyjskiemi w Azyi środkowej, a firmami handlowemi za granicą. Biuro działać ma na zniżenie cen towarów, przywożonych z za granicy i zapobiegać usługom komiwojażerów obcych, zbyt kosztownych. Przedstawicielami biura warszawskiego za granicą będą firmy handlowe londyńskie i wiedeńskie. — Zarząd kolei Fabryczno-Łódzkiej wprowadził bilety powrotne. — Ceny gruntów w okolicach miasta ciągle wzrastają skutkiem ruchu budowlanego. W r. 1894 władza gubernialna zatwierdziła 595 planów nowych budowli, w tej liczbie kilku wielkich zakładów fabrycznych. W r. b. ożywienie jeszcze większe, gdyż do chwili obecnej zatwierdzono 356 planów prawie wyłącznie domów mieszkalnych. W takim samym stosunku mnożą się domy po za granicami miasta.

Lublin. Według doniesienia *Gazety polskiej*, w roku bieżącym powstanie w Lublinie zarząd budowy nowej kolei, prowadzonej kosztem skarbu z Łukowa do Lublina. Długość jej wyniesie 73 wiorsty. Roboty rozpoczną się jednocześnie z dwóch punktów krańcowych: od stacyi Lublin przez przedmieście Piaski od wschodniej strony Lublina do Lubartowa, następnie przez Firlej do Kocka nad Wieprzem w pow. łukowskim, gub. siedlickiej; na Wieprzu zbudowany będzie duży most żelazny, poczem kolej w prostej linii dotrze do Łukowa, w jednem tylko miejscu na przestrzeni paru wiorst około Wojcieszkowa przetnie powiat radzyński. Przed Łukowem około wsi Świdry połączy się z odnogą kolei Nadwiślańskiej, Łukowsko-Iwangrodzką. Most drugi żelazny zbudowany będzie na Bystrzycy w pow. łukowskim. Cała linia przecinać będzie dwie gubernie: siedlecką i lubelską (powiaty: łukowski, radzyński, lubartowski i lubelski), przejdzie przez miasta i osady: Kock, Firlej i Lubartów. Kolej nie dojdzie właściwie do samego Lubartowa, gdyż stacja zbudowana będzie o cztery wiorsty ku wsi Siedliska, na zachód od powyższego miasta.

Suwałki. Najmłodsze miejscowe Towarzystwo lekarskie po roku istnienia wydało już pierwsze sprawozdanie. Zadaniem tej instytucyi jest badanie warunków zdrowotnych gubernii, szczególnie tych, które wpływają na rozwój chorób epidemicznych i zaraźliwych; zbieranie i opracowywanie materyałów do statystyki o chorobach i śmiertelności. Wreszcie współdziałanie w prawidłowem szczepieniu ospy. Do stycznia r. b. Towarzystwo liczyło 54 członków rzeczywistych. Dochody stanowiły wpisy w sumie rs. 458, z których wydano na lokal, urządzenie biblioteki, prenumeratę pism itd. rs. 335. Na początkowe urządzenie księgozbioru, członkowie ofiarowali 75 tomów różnych książek. — W związku z powyższym organem jest stan środków sanitarno-ratunkowych. Otóż inne sprawozdanie (z działalności rad gubernialnych i powiatowych dobroczynności publicznej za r. 1894), wykazuje istnienie sześciu szpitalów w całej gubernii; po jednym: w Maryampolu, Kalwaryi, Sejnach, Augustowie, dwa w Suwałkach, a nadto — dom starców. Wszystkie zakłady mają ogółem łóżek etatowych 169, chorych zaś było 1,610, z których najwięcej (586) przypada na Suwałki. Przychodzących na bezpłatną poradę do szpitalów suwalskich było 1,056. — Miejscowe Towarzystwo dobroczynności nie cieszy się powodzeniem, o czem świadczy stałe zmniejszanie się liczby członków.

Niższy Nowogród. Przed trzema tygodniami burza poczyniła ogromne spustoszenia na terytoryum przyszłej wystawy. Huragan pozrywał z wielu budynków dachy i deski, zrujnował rusztowania itd. Największą szkodę poniósł oddział, przeznaczony na wystawę Azyi środkowej i Kaukazu, gdzie okazały budynek niemal zupełnie zburzony. Składał się on z gmachu głównego, ozdobionego wielką kopułą i — zabudowań bocznych, jednopiętrowych. Według projektu Pomerancewa, miała to być ozdoba całej wystawy. Wogóle straty są olbrzymie; trzeba będzie do wielu robót przystąpić na nowo ze znacznym nakładem i stratą czasu.

Kijów. W sprawie spisu statystycznego gubernii południowo-zachodnich. *Now. Wrem.* podało ciekawe szczegóły następujące: Ministeryum skarbu w zastosowaniu się do prawa z d. 8-go czerwca 1893-go r., projektowało początkowo tylko dokonanie oceny ziemi w 14-tu guberniach, nie posiadających urządzeń ziemskich, i w tym celu zażądało zdania organów miejscowych. Pomiędzy innemi znalazł się projekt generał-gubernatora gubernij południowo-zachodnich, wyjaśniający, iż wobec przeznaczonego na ten cel przez skarb państwa funduszu, wynoszącego 6,000 rs. na powiat, rzecz sama może być przeprowadzona nie przez komisye, złożone ze sprawników, inspektorów podatkowych itd., lecz jedynie przy pośrednictwie specyalistów, z czynnością taką obeznanych. Ministeryum projekt ten zatwierdziło i postanowiło przystąpić niezwłocznie do czynności przygotowawczych. Po zebraniu tą drogą danych odpowiednich, uznano za konieczne przyjąć ogólny, jednaki dla wszystkich trzech gubernii (kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej) system i przedstawić go radzie państwa do uznania i zatwierdzenia. „Czynność rzeczona, olbrzymia pod względem statystycznym, obejmie odrazu 30 powiatów kraju południowo-zachodniego, a doniosłość jej — pisze gazeta powyższa — będzie o tyle ważniejsza, iż gubernie powyższe, w ścisłem słowa tego znaczeniu nie były pod względem ekonomicznym nigdy badane. Że zaś praca podobna została już raz dokonana w Syberyi pod kierunkiem hr. Ignatjewa, przypuszczać należy, iż i gubernie południowo-zachodnie będą nie gorzej poznane, jak oddalona Syberya.“

SPRAWY EKONOMICZNE

PARCELACYA.

II.

Roku 1878 w Królestwie Polskiem liczono 247,403 osady mniej niż 10-morgowe, a więc ich posiadacze są kandydatami do nabywania nowych gruntów, którzy, jak twierdzi p. Bloch, „drogo zapłacić mogą i uratują ziemię od ruiny i bankructwa.“ Cyfr powyższych nie można wszakże brać jako szczegół stosunków dzisiejszych; w ciągu bowiem lat 16-tu zaszły ogromne zmiany w warunkach ekonomicznych ludności włościańskiej, do czego już sama emigracya brazylijska musiała dużo się przyczynić. Nadto przypuszczamy, że własność chłopska, istniejąca przed r. 1878, musiała uledz większemu rozdrobnieniu przez działy rodzinne. To wszystko wszakże nie zmniejszyło, lecz raczej pomnożyło sumę jednostek, pragnących nabycia gruntów. O bezrolnych statystyka nasza nie ma dokładnych danych. To tylko wiadomo, że ich liczą nie na dziesiątki, lecz nawet na setki tysięcy. Jeżeli przypuścimy, że i z tej kategoryi znajdzie się mniej więcej tyle przynajmniej kandydatów do kupna ziemi, ilu jest właścicieli osad 10-morgowych, będziemy mieli przeszło 500 tysięcy ludzi, skłonnych do kupna gruntów za pośrednictwem Banku włościańskiego. Wobec takich rzeczy nabywcy, którzy już skorzystali z kredytu, stanowią zaledwie skromny procent całej masy, mającej w części uratować własność szlachecką.

Dość ważne wskazówki w zakresie ruchu parcelacyjnego daje rubryka, wyjaśniająca, skąd nabywcy przychodzą. Z zestawienia kolumn cyfrowych widać, iż w całem Królestwie Polskiem bezpośredni sąsiedzi, tj. właściciele gruntów, przylegających do ziemi, przeznaczonej na sprzedaż, dają blizko 40% nabywców, włościanie okoliczni przeszło 30% i przybysze ze stron dalszych — około 30%. Nie we wszystkich atoli guberniach stosunek jest jednakowy. Np. w łomżyńskiej, kieleckiej i piotrkowskiej większość, a w warszawskiej i piotrkowskiej prawie połowa pochodzi z ludności miejscowej. Sąsiedzi bezpośredni nabywali najmniej ziemi w gub. lubelskiej i siedleckiej; większość (w siedleckiej nawet znaczna) przychodziła z okolic odległych. W sprawozdaniach urzędowych dotąd nie mamy przyczyn, dokładnie wyjaśniających to zjawisko. P. Bloch przypuszcza, iż taki stan rzeczy świadczy o małej zamożności włościan tych gubernij, wskutek czego nie mogą kupować ziemi, sprzedawanej też o miedzę; albo też wynika to z niechęci. I jedno i drugie przypuszczenie nie jest dostatecznie przekonywające. Zaznaczyć przy tem należy pewien objaw, który w ogólnych stosunkach własności ziemskiej musi grać dość znaczną rolę. W ciągu roku 8,262 rodziny w miejscowości odległej od dawnych siedzib, a więc prawdopodobnie przeszło 30,000 ludzi, przenosi się do innego punktu kraju, gubernii lub powiatu, przeszło 6,000 rodzin pozostaje w tej samej okolicy, ale posuwa się dalej o 6 — 10 wiorst. Ponieważ owi nabywcy bezrolni i rolni są jednocześnie robotnikami w folwarkach, więc niewątpliwie ruch parcelacyjny w takiej postaci odbija się na stosunkach gospodarczych własności większej. To wszakże są zjawiska, leżące po za granicami wszelkich sprawozdań statystycznych, więc nie można wiedzieć, w jakiej formie ten wpływ się zaznacza: czy jedna okolica jest

pozbawiona na pewien czas sił robotniczych, a druga korzysta z taniej pracy skutkiem wielkiego współzawodnictwa?

Porzućmy atoli tymczasem pytania trudne do wyjaśnienia, a przejdźmy do faktów, które w pewnem ugrupowaniu łatwiej nam wnioski nasuną. Rozejrzyjmy się najpierw w rubryce: kto ziemię sprzedaje. Pod tym względem wykaz bankowy z r. 1893 daje dość obfity materyał. Otóż z szeregu cyfr widzimy, iż przy pomocy Banku włościanie najwięcej kupują ziemi od szlachty i urzędników, tj. z majątków większych. R. 1893 obszaru tego pochodzenia (w Królestwie Polskiem) było 19,218 morgów (przeszło 640 włók), czyli 65,7% ogółu ziemi sprzedanej tą drogą. W latach poprzednich cyfry były jeszcze większe: r. 1891 — 77%, 1892 — 84%. W pojedynczych guberniach Królestwa Polskiego liczby mało różnią się od przeciętnych. W dziewięciu przyległych nabyta przez włościan ziemia z majątków powyższej kategoryi daje jeszcze większe cyfry: w grupie gubernii litewskich 81,6%, białoruskich 78,0%, południowo-zachodnich 89,2%; w całem cesarstwie przeciętnie wynosi 70,3%. Przy tem zasługuje na uwagę to zjawisko, że w guberniach Cesarstwa włościanie kupują dużo ziemi z dóbr kupców, mieszczan, duchowieństwa cudzoziemców i skarbu, które wszystkie zaliczyć można do kategoryi posiadłości większej. Widzimy zatem, iż Bank ma charakter parcelacyjny w Królestwie, a jeszcze bardziej w Cesarstwie.

Dla uważnego badacza warunków ekonomicznych wielkie ma znaczenie podział właścicieli ziemskich na zamieszkałych i nie obecnych w swych dobrach: W guberniach: kaliskiej, kieleckiej i radomskiej r. 1893 wcale nie było sprzedaży dóbr bez rezydencyi właściciela, w warszawskiej — niewiele; ale za to w łomżyńskiej i siedleckiej majątki takie stanowią znaczną większość w kategoryi sprzedanych. W guberniach litewskich stosunki są prawie takie, jak i w Królestwie; ale w białoruskich [illegible] w południowo-zachodnich $^3/_4$ ogółu gruntów, sprzedawanych przy pomocy Banku włościańskiego, należy do właścicieli, mieszkających gdzieindziej. Systematyczne gromadzenie takich faktów może dać dużo światła: ile dóbr ulega działkowaniu skutkiem ruiny materyalnej, co kraj przez to traci lub zyskuje, w jakim stopniu przyczynia się to do uregulowania ogólnych stosunków własności ziemskiej. P. Bloch przychodzi do bardzo trafnych przypuszczeń, że właściciel zamieszkały w majątku, sam zajmuje się sprzedażą, niezamieszkały — używa pośredników, którzy, jak wiadomo, w ruchu parcelacyjnym odgrywają wybitną rolę, oczywiście ze szkodą rolnictwa. Sami bowiem ciągnąc znaczne zyski, narażają na straty zarówno sprzedawców, jak i nabywców, nowym gospodarzom uszczuplają siły niezbędne do utrwalenia i rozwoju warsztatu rolnego. Dane statystyczne każą nam przypuszczać, że w gub. kaliskiej, kieleckiej i radomskiej panuje pomyślniejszy objaw pod tym względem; w warszawskiej niezupełnie, w łomżyńskiej i siedleckiej — niepożądany. Najgorszy stan rzeczy w guberniach południowo-zachodnich. Oczywiście tak każe mniemać logika, ale nie dość poprzestawać na przypuszczeniu; należałoby prowadzić szczegółowe i dokładne badania w tej mierze, które z czasem dostarczyłyby sporo materyału do prawidłowego pokierowania sprawami parcelacyi z całą świadomością.

Prawie [illegible] ziemi sprzedanej w całem Królestwie (r. 1893) należała do żydów. W guberniach pojedynczych cyfry są różne: w radomskiej grunty dawniej żydowskie stanowią znaczną większość sprzedanego obszaru, bo aż 71,4%, w piotrkowskiej 41,6%, kaliskiej 33,0%. Natomiast w kieleckiej 10,6%, łomżyńskiej 13,5%, lubelskiej 19,5%; w warszawskiej żydzi wcale nie sprzedawali ziemi w roku sprawozdawczym. Z odpowiedniego ugrupowania cyfr i obszarów widzimy, że w ogólnej masie ziemi sprzedanej grunty żydowskie zajmują wybitniejsze miejsce na zachodzie i południu Królestwa niż na wschodzie. W gub. kaliskiej, kieleckiej, piotrkowskiej i radomskiej, razem wziętych, ziemie, dawniej należące do izraelitów, stanowią w całości sprzedanych gruntów 35%; w gub. lubelskiej, łomżyńskiej i siedleckiej — tylko 18%. W tem zestawieniu uderza znaczna różnica w stosunkach obszarów, rozdzielonych Wisłą. Dane powyższe nie pozwalają jeszcze wyprowadzić wniosku co do przyczyn, jakie spowodowały sprzedaż dóbr tej kategoryi; nie można stąd wnosić, że żydzi nie są żywiołem odpowiednim do produkcyjnej pracy na roli, albo że nabywali ziemię w celach spekulacyjnych, aby ją potem sprzedać włościanom ze znacznym zyskiem. I jedno i drugie przypuszczenie w wypadkach pojedynczych może mieć cechy prawdopodobieństwa; ale dla stwierdzenia tego, brak pewnych danych. Do dalszych wniosków prowadzi zestawienie cyfr z lat poprzednich: r. 1891 ziemia sprzedana w Królestwie przez żydów, wynosiła 7%, r. 1892 — 10%, r. 1893 — 24%. Dane te najwyraźniej wykazują stały wzrost sprzedaży ziemi żydowskiej za pomocą działkowania. I tu nie można odnaleźć niewątpliwej przyczyny owego zjawiska. Czy działa w niem głównie rozwój obrotów bankowych, a więc — rozszerzenie pola zyskownego procederu dla kapitalistów — pośredników, czy też przewidywanie ograniczeń, albo wreszcie może ogólne pogorszenie się warunków ekonomicznych w rolnictwie. Najmniejszy ruch sprzedaży dał się zauważyć śród samych włościan: w poprzednich latach 7%, a w 1893 — 8% było gruntów owej kategoryi, i to w niektórych tylko punktach kraju: pow. włodawskim (gub. siedlecka), łomżyńskim, pułtuskim (g. łomżyńska), tomaszowskim i janowskim (gub. lubelska) i nowomińskim (warszawska) — wszystkie na prawym brzegu Wisły. P. Bloch przypuszcza, że ta sprzedaż, być może, jest w związku z kupowaniem nowych działek w odleglejszych okolicach; ale na usprawiedliwienie tego domysłu nie ma realnych danych.

O pochodzeniu dóbr parcelowanych sprawozdania posiadają dużo ciekawych szczegółów, które wskazują, iż w Królestwie tylko $^1/_6$ ogólnej ilości ziemi, sprzedanej włościanom, pochodziła z majątków rodzinnych, reszta już była uprzednio przedmiotem tranzakcyi, a $^1/_3$ przeszła przez licytacyę. Skąd to pochodzi? — „Nasuwa się odrazu na myśl spekulacya — mówi p. Bloch, — której ofiarą padł przedewszystkiem właściciel dawny, zmuszony sprzedać za byle co ojcowiznę, następnie wierzyciele hypoteczni, wreszcie w jakiejś części włościanie, płacący drożej, niżby kupić mogli od dawnego właściciela. Zyski zgarnął spekulant, który tylko na czas jakiś zaangażował swój kapitał, a przez co przyniósł szkodę zagrożonej najważniejszej gałęzi wytwórczości naszej. Mogło jednak być całkiem inaczej. Wierzyciele hypoteczni, więc przeważnie ludzie, nie umiejący spekulować wcale, nabywają dobra, aby uratować swój fundusz i następnie odprzedają kupcowi pierwszemu, który im daje sumę odpowiednią lub najwyższą. Jeżeliby w tem był nawet pierwiastek spekulacyi, to mimowolny i w małej bardzo dozie." Ta różnorodność przypuszczeń i niepewność wniosków u autora, który jedyny może z ekonomistów naszych ma najbogatsze źródła bezpośrednie, — dowodzi, jak nasza statystyka jest wątła, z luźnych strzępków słabo powiązana nawet tam, gdzie jest niby jakaś organizacya w tej mierze. Stąd ten znamienny charakter prac źródłowych, w których luki są wypełnione przypuszczeniami.

Zobaczmy, jak dobra wyglądały przed parcelacyą. Cyfry już wykazały, że przy pomocy Banku włościanom dostaje się głównie ta ziemia, na której sam właściciel prowadził gospodarstwo. Z całych obszarów, sprzedanych w Królestwie, 18,3% było już przedtem faktycznie rozparcelowane pod względem gospodarczym i tylko przy pomocy Banku włościańskiego zmieniło właścicieli. Z gubernij pojedynczych stoi pod tym względem na pierwszym planie łomżyńska, gdzie z ogółu sprzedanej ziemi 83% już przedtem pozostawało w rękach drobnych rolników. Wobec wielu innych faktów takiej wyjątkowości w rzeczonej gubernii, p. B. doszedł do wniosku, iż tam ludność włościańska jest zamożniejsza, niż gdzieindziej. Słuszną jest uwaga, że rubryki p. t. „właściciele sami gospodarowali," nie potrzeba brać dosłownie, gdyż być może, iż w wielu wypadkach posiadacz nie oddawał w dzierżawę majątku (chociaż nie był rolnikiem fachowym), dlatego, że miał na widoku sprzedaż.

Drog.

— Skutkiem zapowiedzianego monopolu, w wielu guberniach, zapanował ruch niezwykły. Powstanie mnóstwo nowych gorzelni i dystylarni państwowych, do których ministeryum skarbu poszukuje obecnie uzdolnionych mechaników, majstrów i robotników.

— Ministeryum rolnictwa przystąpi wkrótce do opracowania ustawy o rybołówstwie dla całej Rosyi.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa nadesłało warszawskiemu Muzeum przemysłu i rolnictwa wykaz miejscowości, w których niema wcale lub zbyt mało korespondentów. Otóż wzywano rolników z tych miejscowości, ażeby nawiązali z niem stosunki listowne dla udzielania niezbędnych wiadomości w sprawie gospodarstwa, jego warunków i potrzeb miejscowych. Obowiązki takie nie pociągają żadnych wydatków, gdyż korespondenci otrzymują gotowe drukowane kwestyonaryusze i koperty pocztowe z adresem.

— *Birż. Wied.* zaznaczają, iż kontrabanda na granicy pruskiej w ostatnich czasach znacznie wzrosła. Przemycane są przeważnie towary galanteryjne.

— W okolicy Konopek (st. dr. ż. Nadwiślańskiej) ziemianie postanowili zawiązać spółkę hodowli koni rasowych.

O PRAWDĘ.

Z hygieny życiowej.

Sprawa pomocy akuszeryjnej, poruszona w nr. 4 *Kroniki lekarskiej* i 14, 21 i 26 *Prawdy*, jest tak ważna, że pozwolę sobie do wyłuszczonych w powyższych artykułach spostrzeżeń, dorzucić i garść własnych.

Przedewszystkiem, zestawiając obliczenia d-ra Jaworskiego co do ilości porodów, jakie obsługiwać może u nas w ciągu roku jedna akuszerka z cyfrą, podaną przez d-ra Nameza, przyznać należy, że ta ostatnia jest stanowczo za małą. Twierdzenie moje opieram na przypuszczeniu, iż prawdopodobnie stosunek między niższym kobiecym personelem lekarskim w miasteczkach jest mniej więcej jednakowy. Jeśli więc rozpatrzymy ten stosunek w jakiemkolwiek mieście prowincyonalnem, otrzymamy cyfry bliskie rzeczywistości. Jako przykład, biorę miasto Zgierz. Według danych urzędowych rodzi się tu rocznie średnio 448 dzieci *), co zestawiwszy z liczbą kobiet, niosących posługi podczas porodu i połogu (są tu 2 akuszerki i 4 t. zw. „babki wiejskie"), otrzymamy, że jedna akuszerka lub „babka" przyjąć może rocznie 75 dzieci. Cyfry więc podane przez d-ra Jaworskiego, według którego jedna akuszerka może obsługiwać 52 — 104 rodzących kobiet w ciągu roku, są bardziej prawdopodobne.

Kol. N. słusznie twierdzi, że ludność wiejska u nas ma wielkie zaufanie do lekarzy, zwłaszcza

*) Przeciętna z lat 1890, 1891, 1892, 1893 i 1894.

w potrzebie pomocy akuszeryjnej, ale czy również chętnie wzywa ich w takich wypadkach — to kwestya inna. Ze względu na to, że sprowadzanie lekarza do ciężkiego porodu pociąga za sobą wydatek kilkorublowy, uboga ludność ucieka się do tej pomocy jedynie wtedy, gdy wszelkie zabiegi akuszerek, „babek“ lub życzliwych sąsiadek są bezowocne i gdy niebezpieczeństwo dla rodzącej jest już zbyt widocznem. Ludność wiejska w nieświadomości swojej wymaga od akuszerek, aby one same wykonywały operacyę i nie narażały ich na koszty, połączone z przybyciem lekarza. Nieraz byłem świadkiem, zwłaszcza gdy obrót akuszeryjny dokonany został szybko, jak mąż lub otoczenie rodzącej, robili wyrzuty „babce,“ że sama nie stosowała tych rękoczynów, tak im bowiem wszystko to wydawało się łatwem, wchodzącem w zakres umiejętności i działalności akuszerek! Takie pretensye otoczenia sprowadzają najczęściej ten skutek, iż akuszerka, jeśli jest nieuczciwą, wyczekuje tylko najbliższej sposobności, aby już nie używać lekarza, ułatwia poród samodzielnie. Wielu chyba lekarzy może potwierdzić, że tak bywa w rzeczywistości, i to, niestety, aż nadto nawet często. Dziwi mnie przeto zdanie kol. N., „że prawie żadna akuszerka nie odważy się dokonać jakiejkolwiek prostej operacyi, pomimo że uczą się tego na kursach“ (?). Być może, istnieją w Królestwie takie szczęśliwe miejscowości, jak naprzykład ta, w której mieszka kol. N., gdzie, jako mieście gubernialnem, akuszerki i „babki“ nie mają odwagi pod okiem władzy dopuszczać się podobnych wykroczeń. Co do mnie, widzę rzeczy w mniej różowem świetle, kilkoletnie bowiem spostrzeżenie przekonało mię, że stosunek ten jest wcale innym. Przed kilku miesiącami wezwano mię do chorej, której trzeba było dokonać operacyi usunięcia przyrośniętego łożyska. Przygotowując się do niej, zauważyłem podczas dezynfekowania rąk, że „babka,“ której zaleciłem chorą odpowiednio na łóżku ułożyć, manipuluje kilka minut w jej organach rozrodczych. Otóż „babka“ ta pragnęła widocznie dowieść, że obecność lekarza jest niepotrzebną, gdyż — być może — jej samej uda się operacyę tę wykonać. Ten, kto ocenia całą doniosłość takiej czynności, pojmie niebezpieczeństwo, na jakie chora była narażoną przez akuszerkę. Udało mi się wprawdzie spostrzedz jej zabiegi i im w porę przeszkodzić, jednakże nie zupełnie, gdyż „babka“ oderwała pępowinę i w kilku miejscach uszkodziła łożysko. O fakcie tym zawiadomiłem urząd lekarski (w Piotrkowie) i, jak mi sam p. inspektor oznajmił, winna otrzymała stosowną karę. Takich faktów bywa więcej, lecz nie wszystkie dochodzą do wiadomości władzy. W tem miejscu wspomnę jeszcze, że wykształcenie fachowe akuszerek nie ma na celu przyszłej ich działalności, jako operatorek; zadaniem ich jest *jedynie* przestrzegać czystość podczas porodu i połogu. Co się tyczy t. zw. „babek wiejskich,“ to cały kurs ich nauk trwa wszystkiego 3 miesiące, poczem kobieta taka, nie umiejąca często nawet czytać lub pisać, otrzymuje prawo praktykowania po wsiach i miasteczkach.

Pogląd kol. N., że nie będzie wcale praktycznem powiększać liczby akuszerek, podzielam najzupełniej; wniosek taki wypływa logicznie z tego, że nie należy powiększać zła. Traktując bowiem akuszerkę, a zwłaszcza „babkę,“ w ich obecnym stanie, jako jednostkę, której działalność jest ujemną, należałoby dokładać wszelkich usiłowań, aby liczbę ich ograniczyć do możliwego *minimum*.

Wogóle kwestya akuszerek, jak również i felczerów, jest polem do rozmyślań wcale nie wesołych. My, lekarze, najlepiej możemy ocenić szkody, jakie przynosi społeczeństwu ta, że się tak wyrażę, pseudo-wiedza, paraliżująca nieraz naszą działalność i usuwająca na długie jeszcze lata tę chwilę, kiedy ludność wiejska i małomiasteczkowa zacznie się trzeźwo zapatrywać na kwestyę szukania i otrzymywania racyonalnej pomocy lekarskiej.

Pana Zen. Piet. w artykułach zrozumiałem dobrze i zgadzam się z jego zapatrywaniami. Na jednym tylko punkcie, gdzie proponuje podniesienie poziomu fachowego akuszerek, pogląd mój na tę sprawę jest odmienny. Mojem zdaniem, jeśli nawet poziom ów się podniesie, będzie to zawsze tylko pół-wiedza, a jako taka, nigdy nie odpowie należycie zadaniu, przeciwnie, akuszerka będzie miała więcej pretensyi do działalności samodzielnej, a zatem stanie się jeszcze szkodliwszą.

Jedynem wyjściem z położenia obecnego, sądzę, będzie wzmocnienie nadzoru nad akuszerkami i babkami, w ten sposób, naprzykład, aby każdy lekarz był obowiązanym od czasu do czasu podawać raporty do urzędów lekarskich o ich działalności. Taka ścisła kontrola jeśliby kwestyi nie rozwiązała, to przynajmniej znacznie by ją posunęła.

Dr Sonnenberg.

Obaj moi szanowni oponenci w sprawie akuszek są nieprzejednani i pomimo trzeźwości w rozumowaniach — stronni. Nie chcą nietylko podniesienia poziomu umysłowego tych pracownic, ale nawet twierdzą, że stałyby się one szkodliwszemi, zamiast zwiększenia, żądają przeciwnie — ograniczenia ich liczby. Innego atoli zdania są członkowie Towarzystwa lekarskiego na Kaukazie, którzy przed paru miesiącami roztrząsając sprawę pomocy akuszeryjnej w *całem państwie* i posługując się obfitym materyałem, przyszli do wniosku, iż jest konieczną reforma, której podstawą między innemi powinno być podwyższenie poziomu umysłowego owych specyalistek i zwiększenie liczby instytutów położniczych. Odmienne również mają zapatrywania inicyatorowie przyszłego zjazdu lekarzy im. Pirogowa w Kijowie, którzy do programu włączyli wniosek, zalecający uprzystępnienie kobietom, na równi z mężczyznami, wydziału medycznego we wszystkich uniwersytetach i nadania im następnie wszelkich przywilejów służbowych. Taką reformę i ja rozumiałem. Nie chodziło mi o to, czy przyszłe specyalistki będą nosić nazwę akuszerek, czy inną. Uprzystępnienie nauki lekarskiej dla kobiet nie będzie powierzchowne, bo zarówno Instytut medycyny w Petersburgu, jak i otwarcie kobietom wstępu na wydziały lekarskie wszystkich uniwersytetów w państwie, pociągnie za sobą ważny warunek: świadectwa z ukończenia gimnazyum. Następnie studentki muszą przejść ten sam program i praktykę szpitalną, co i mężczyźni. Tak pojmuję reformę pomocy akuszeryjnej, bo nie ulega żadnej wątpliwości, że znaczna liczba kobiet obierze sobie ten zakres medycyny. I to p. Sonnenberg nazywa pół-wiedzą, gruntem dla wyrastania pretensyi do działalności samodzielnej?! Jest to znamienny objaw, że wielu naszych lekarzy (między nimi i moi oponenci), przy jasnym poglądzie na życie i jego potrzeby, przy podążaniu za ogólnym prądem rozwoju powszechnego, stoją na straży pewnych skostniałych formułek w zakresie wiedzy lekarskiej. Bronią oni zażarcie swej specyalności przed wszelkimi natrętami, głównie zaś przed armią w spódnicy. Kobieta może być filozofem, astronomem, chemikiem, fizykiem, może uprawiać wszelkie dziedziny wiedzy i dzielić się ze społeczeństwem owocami swych zdolności niepospolitych, byleby nie tykała medycyny. Fakty jednak kruszą te formułki i mówią co innego. Kobiety już nieraz dowiodły, że i na polu chirurgii potrafią sumiennie i umiejętnie działać, w czem wielce im dopomaga wrodzona zręczność i zamiłowanie czystości. Inne *wrodzone* cechy ogółu kobiet robią to, że specyalistki-lekarki są dla nich potrzebne. Życie już bowiem nieraz dowiodło, że niczem nieprzełamana wstydliwość niewieścia była przyczyną wielu nieszczęść. Lekarze ją nazywają uporem. Etyka jednak każe upór taki uszanować, bo to są te lepsze pierwiastki kobiety-człowieka, stojące w obronie jej godności.

Co do akuszerek dzisiejszych, dr. Sonnenberg zbyt surowy sąd wydaje; potępia je w czambuł, wykształcone, inteligentne, stawia na równi z „babkami,“ nieumiejącemi czytać i pisać, uważa je za taką samą plagę, jak felczerstwo i znachorstwo. Zapomina wszakże, iż obecny stan rzeczy głównie wynika z warunków nienormalnych, że prowincya dostaje istotnie w znacznej większości specyalistki niedbałe, niemające pojęcia o zawodzie obranym, gdy tymczasem w miastach można spotkać wiele akuszerek, ukształconych, rzetelnych, czystych, które nie mają nigdy pretensyi do operacyi, lecz przeciwnie — same nawet w takich wypadkach wzywają specyalistów akuszerów. Ponieważ w większości połogów najwięcej znaczy tylko czuwanie nad prawidłowem rozwiązaniem, czasem wzywanie lekarza w chwilach krytycznych i hygieniczne pielęgnowanie chorej, zatem nietylko niezbędne są sumienne akuszerki, ale pożądane zwiększenie ich liczby, tem bardziej, że na prowincyi nie zawsze najzdolniejszy lekarz może być akuszerem, a żaden z nich w pielęgnowaniu położnicy nie zastąpi takiej specyalistki.

Zen. Piet.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych w osobnym cyrkularzu poleca, ażeby nie tamowano drogi przesiedleńcom, gdyż zatrzymywanie ich w punktach węzłowych, znacznie już oddalonych od miejsc zamieszkania, nie jest właściwe i nie odpowiada celowi. Tylko w wypadkach, gdy porządek publiczny lub dobro samych wychodźców wymaga, władza może się uciekać do tego środka, ale po porozumieniu się z ministeryum.

Szkoły. Panna Eugenia Zeligson, warszawianka, po obronie rozprawy w Paryżu, otrzymała stopień doktora medycyny.

— Ministeryum skarbu otrzymało około 20 podań o szkoły handlowe (nowego typu). W większości fundusze na utrzymanie tych zakładów ofiarują stowarzyszenia lub oddzielne osoby prywatne. Według *Birż. Wied.*, podania będą niezwłocznie uwzględnione, skoro tylko ministeryum uzyska przyzwolenie Rady państwa na początku jesieni.

— W r. b. kandydaci na kurs II-gi Instytutu górniczego nie będą przyjmowani.

Konkurs. Z fundacyi Franciszka Kochmana wydział krajowy galicyjski ogłasza konkurs z terminem d. 31 grudnia r. b. na dwa premia (1,000 i 500 złr.) dla dwu najlepszych dzieł w języku polskim. Według statutu, mogą być dopuszczone do konkursu dzieła autorów w języku polskim, z wyjątkiem jedynie utworów treści religijnej i teologicznej, a wydawnictwa materyałów historycznych lub innych, bibliograficzne itp. tylko wtedy, jeżeli im towarzyszy samodzielne oryginalne dzieło autora. Także utwory autorów zmarłych mogą być przedstawione, jednak z zastrzeżeniem, iż jeżeli są drukowane za życia autora, to im tylko w ciągu trzech pierwszych lat od jego zgonu służy prawo do konkursu. Jeżeli zaś jeszcze nie są ogłoszone drukiem, to przyznana im nagroda powinna być użyta przedewszystkiem na wydrukowanie dzieła. Z prac autorów żyjących tylko książki ogłoszone drukiem mają prawo do konkursu. Dawniejsze jednak, niż z r. 1886, jako dziesięć lat wyprzedzające „prekluzyę“ konkursu, bez różnicy, czy ich autorzy żyją, czy nie, nie mogą być dopuszczone. Własność literacka dzieła wynagrodzonego pozostaje przy autorze, nadesłane zaś egzemplarze będą na koszt wysyłającego zwrócone tylko na osobne żądanie. Nagroda przyznana dziełu drukowanemu pisarza już zmarłego przypada na rzecz jego spadkobierców; gdyby zaś ich nie było, orzecze komisya konkursowa, na jaki cel nagroda ma być użyta.

Zdrowie publiczne. Na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego w Berlinie prof. Eulenburg podał sprawozdanie o dotychczasowych rezultatach stosowania surowicy przy dyfterycie w domach zdrowia, podlegających kontroli państwowej: od 1 października r. z. do 1 kwietnia r. b. było 10,240 chorych, z tej liczby leczono surowicą 5,790, innymi środkami 4,450. W pierwszym wypadku cyfra śmiertelności wynosiła 552, czyli 9,50%, w drugim — 652, czyli 14,7%. Choroba przy stosowaniu surowicy przybierała charakter dość łagodny, a najłatwiej dawała się usunąć przy natychmiastowym ratunku. Śmiertelność w takich razach wynosiła tylko 4,1%, przy późniejszem stosowaniu tego środka podnosiła się aż do 16,8%. Z dzieci, leczonych surowicą, zmarło w pierwszym i drugim roku życia 21,7%, bez surowicy — 39,5%; od lat 2 do 10 w pierwszym wypadku 8,8%, w drugim — 15,2%. Zupełnie odwrotny stosunek wypada przy leczeniu dorosłych: z liczby leczonych surowicą zmarło 4,1%, innymi środ-

kami — 3,8%. Zatem surowica dla starszych nie jest lepszym środkiem leczniczym, niż inne.

— W Krakowie d. 15, 16 i 17 b. m. odbył się zjazd chirurgów.

Koleje i komunikacye. Departament kolejowy opracował projekt umowy międzynarodowej w sprawie przewozu pasażerów i ich bagażów. Kwestya ta roztrząsana będzie we wrześniu na naradach państw, które przystąpiły do konwencyi berneńskiej. Wprowadzenie w czyn tej umowy ułatwi znacznie podróże ludności państwa rosyjskiego.

— *Kuryer warsz.* zaznacza znamienny fakt, iż dzienniki rosyjskie wypowiedziały istną kampanię zarządom i administracyi kolei. Zbyteczna formalistyka, nieuwzględnianie interesów publiczności, wreszcie brutalność w obejściu z pasażerami wywołują ogólne oburzenie prasy, domagającej się stanowczego położenia tamy temu ze wszechmiar smutnemu porządkowi rzeczy. Prasa działa z zupełną solidarnością i niema ani jednej gazety, ani jednego niemal numeru, w którym ta sprawa nie byłaby poruszona. Szczególnie atakowany jest przepis o stemplowaniu biletów, dający ciągłe powody do zatargów z publicznością, a co więcej, narażający ją na krzywdy bardzo dotkliwe. *Nowosti* podają całą wiązankę faktów, w których władze stacyjne, jakby żartując z publiczności, nie uznawały wzajemnie działania swego i zmuszały pasażerów do opłacania kar, nieraz wysokich, najniesprawiedliwiej. — W końcu gazeta powiada: „Mówiliśmy już nieraz, iż rygor, zastosowany w czasach ostatnich do pasażerów, właściwiej byłoby zwrócić przeciwko samej administracyi kolejowej, szczególnie jej urzędnikom, zbyt mało dbającym o dobre spełnianie swych obowiązków i narażających przez to pasażerów na straty nieuniknione.“ Poparłszy twierdzenie przytoczeniem wypadku, w którym pasażerowie nie mogli spotkać się ze swym bagażem, *Nowosti* dodają jeszcze, iż w Charkowie pomiędzy publicznością a konduktorami przychodzi do bójki istotnej wskutek złego układu pociągów i zmuszania podróżnych do ciągłej zmiany wagonów.

Wypadki. W Tivoli, nieopodal Rzymu, zdarzył się wybuch w fabryce prochu. Trzynastu robotników zabitych.

— Pierwszy francuski okręt handlowy, przepływający przez kanał Niemiecko-Bałtycki, parowiec „Emilie,“ zetknął się z żaglowcem duńskim, który zatonął.

— Z Rieki donoszą o silnem trzęsieniu ziemi.

Zmarli. Jadwiga Luceńska, w Warszawie, współpracowniczka *Echa muzycznego* i *Wieku*. Tłomaczyła na język polski nowele francuskie i angielskie, tudzież utwory dramatyczne.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. St. Ż. w Kórniku. Jest to wierszyk Konopnickiej napisany umyślnie jako motto do zbiorku nowel Meyeta. Wzmiankowane dzieła nie są tłomaczone na język polski.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 7 Іюля 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.